



№ 51.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 16 grudnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.

Treść numeru. Lelów (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Na przegręgu (drzeworyt). — Elegia (drzeworyt). — Medal z wystawy fińskiej (z drzeworytem). — Wystawa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych (dalszy ciąg). — Fryderyk Kazimirz Skobel (dokończenie). — Szachy. — Rbus. — Listy ze stolicy Węgier. — Do poezyi (wiersz). — Poradnik dla kupujących książki i nuty muzyczne (dokończenie). — Sprawa lekarek w Anglii. — Szwedzkie dziecko, powieść (dalszy ciąg). — Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).



LELÓW.

W dawnym województwie krakowskim miasto Lelów, stolica powiatu, któremu dało nazwę, a zarazem starostwo grodowe ziemskie, znane z odwiecznych czasów, jest jedną z tych najpięrszych w starożytniej Lechii osad, które powstały w nieoznaczonej epoce pogaństwa, gdy ludność miejscowa myśleć zaczęła o obronie przeciw napaści grabieżców. Położenie nierówne, wzniesione poprzeczne dolinami, dwa pyszne strumienie kryniczne, źródła wód zewsząd tryskające ze wzgórz i bagien okolicznych, ściany strome parowów glinianych, a obok tego bujna roślinność, posłużyły wybornie ówczesnym mieszkańcom do obrania tej miejscowości, jako warownię i stolicę dla swojej gromady. Odwieczna drużyna obierała w tym zakątku swego starostę, jako patriarchę, sędziego i przewodnika w uroczystościach religijnych, rozjemcę w sporach przypadkowych, a wodza w razie niebezpieczeństwa. Takim sposobem z czasem powstał gród, a następnie zamek starostów grodowych ziemskich. Istniał on na kopcu wysokim, o prostopadłych prawie ścianach, lecz niezbyt rozległym, otoczonym zewsząd bagnami i wodą, od którego prowadził most zwodzony do właściwej warowni. Miasteczko Lelów również umieszczone było jakby na półwyspie wyniosłym, a niedostępnym.

Groźna to była warownia w owych zamierzchłych czasach, kiedy obok parkanów, ostrokołów i wałów, sama przyroda miejscowości broniła, lecz zasnęła w XIV już wieku; dlatego Kazmirz Wielki całe miasto opasał murem, z mocną bramą, jedyną, którą można było dostać się do środka miasta. Niedaleko od bramy znajdowała się wieża, czyli więzienie dla przestępców, przez mieszczan zwane „męczarnią“, z czego domyślać się można, że i tu tortury praktykowały się, wraz z nadaniem prawa niemieckiego. Dwa kościoły i klasztor nad samym brzegiem miasta cmentarzem i zabudowaniami dotykały murów opasujących, a tęp samem wchodziły w skład warowni. Zamek zbudowany był niegdyś z drzewa, i w nim to mieścił się sąd grodzki ziemski, do ostatnich czasów rzeczypospolitej.

Obecnie z tego wszystkiego pozostał tylko ślad grodziska, a na niem umieszczono grzebalny cmentarz. Kamieni z obronnych murów, bramy, wieży i klasztoru ks. ks. franciszkanów z kościołem, użył burmistrz miasta na budowę dróg nowych, wytkniętych przez bagna.

Jak wyżej nadmieniałem, początek osady Lelowa sięga bardzo odległej epoki, jak równie zamków Mirowa i Bobolie, które rozmieszczone prawie w prostej linii z Lelowem, na przestrzeni dwumilowej, stanowiły łańcuch wojenny i nawzajem wspierać się musiały. To też Władysław Łokietek niemało użył trudów, nim Czechów ztąd wygnął.

Królowie i książęta polscy lubili tu przebywać, dla łowów na różnego grubego zwierza, a wynagradzając ludność za podjęte koszta w czasie ich bytności, nadawali jej liczne przywileje, mające na celu podniesienie miasta.

Klasztor i kościół o. o. franciszkanów jest fundacją Kazmirza W. Rysunek załączony przedstawia jego ruiny, które do reszty niedawno rozebrane zostały. Gmach klasztorny piętrowy odznaczał się odrębną, napół włoską architekturą. Okna miał duże, sklepienie półkoliste i dosyć gęsto umieszczone. Kościół w tym samym był stylu; jeden tylko korytarz, prowadzący z kościoła do mieszkań księży, wzniesiono w czystym stylu gotyckim, z owemi rozgałęzionymi żebrami z ciosu u sklepień, sę odzającami się fantastycznie w jakieś wiązki i znów rozchodzącami na różne strony.

Pozornie cały gmach przedstawiał wiek o wiele późniejszy, a przecież wistocie tak nie było. Budowy Kazmirza W-go nie miały jednostajnej architektury. Ten wielki budowniczy kraju ze wszech stron ściągając ludzi wykształconych i każdy z nich, o ile uzdolnionym się okazał, bądź w naukach wyzwolonych, bądź w rzemiośle lub handlu, znajdował w Polsce zatrudnienie, chlęb

gotowy, znaczenie, a następnie i majątek. Między tymi zagranicznymi przybyszami byli Włosi, Francuzi, Niemcy, a pospołu z nimi nieodłączni Żydzi. Lecz potężny umysł Kazmirza nie kierował się bezmyślnie wniesionemi do kraju zasobami rutyny zagranicznej; umiał on oceniać postęp Zachodu, ale przyswajał i wprowadzał te tylko nowości, które zgodne były z potrzebami i pomysłnością narodu. Ztąd powstały różne budowy z odmienną strukturą, ale wszystkie napiętnowane tak wybitnym charakterem, że na pierwszy rzut oka rozpoznać można nawet w ich szczątkach kierunek jednej myśli. Toż i w klasztorze lelewskim widzimy na rysunku w górnym zakończeniu ściany bocznej niezatartą cechę, jakby własnoręczny podpis wielkiego monarchy-budownika.

Pomimo że kościół i klasztor zachowały mury pierwotnej fundacji, wewnątrz ich jednak z nowszych pochodziło czasów. W drugiej połowie XVII-go wieku Szwedzi, ta północna plaga naszego kraju, po zwykłym rabunku, spalili całe miasto, a z niem i klasztor z kościołem. Mury silne ocalały, lecz reszta spłonęła.

Po klęskach tych księża zasobami własnymi, a parafianie składką pracy, w krótkim czasie doprowadzili znów gmachy do świetnego stanu.

Po kasacyi klasztoru w r. 1819, jeszcze przez lat kilkanaście wspaniała tę świątynię szczególnie opieka parafian utrzymywała w dobrym stanie. Władze jednak rządowe, stosując się do postanowienia prawnego, wbrew życzeniu ludu mieszczańskiego, rozkazały oltarze, stalle i wszelkie ruchome sprzęty rozdać do innych kościołów, a mury przeznaczyć na zburzenie. Nie rozebrano ich wprawdzie zaraz, bo na to funduszy nie było, lecz powoli mieszkańcy okoliczni obdzierali je z drzewa i żelaza, a w murach wykuli dziury, w nadziei znalezienia ukrytych skarbów, przyspieszając tym sposobem zniszczenie ścian, któreby długo jeszcze przetrwać były mogły.

Mimo szczególnej opieki monarchów, Lelów nie wyłonił z siebie żadnego znakomitego nazwiska, któreby jaśnieć mogło na kartach dziejowych narodu. Księżom było może zbyt dobrze, a mieszkańcy, przechodząc przez różne wojenne katastrofy, a do tego często mieszań z obcymi osadnikami, nie mogli nigdy zakwitnąć w spokojnym dobrobycie i oświeceniu.

Jedyną chlubą powiatu jest Samuel Nakielski, pisarz dziejów zgromadzenia Stróżów grobu Chrystusa, oraz klasztoru miechowskiego, urodzony w Lelowie r. 1584. Ztąd także wysłano jako posła na sejm do Warszawy pana Jana Chryzostoma z Gosławic Paska, komornika ziemskiego krakowskiego, a deputata *ad pacta conventa* r. p. 1699, w czasie elekcji Augusta II-go Sasa, znakomitego autora wyborych i znanych powszechnie „Pamiętników“.

W historii naszej płacze się podanie, jakoby nazwa Lelowa pochodzić miała od bożka *Lelum-polelum*; przypuszczenie to jednak żadnej, jak się zdaje, nie ma podstawy naukowej. Starzy mieszczanie lelewscy utrzymują, że Lelów nazywa się od *leluniów* (jeleniów), których tu dużo niegdyś było, podobnie jak poblizka wieś Turzyn od turów zyskała swe miano.

Opowiadano mi także legendę, którą tu zamieszczam. O półtoręj wiorsty od Lelowa, z pod góry skalistej, wytryska przepyszne źródło, o tyle obfite, że o kilkaset kroków młyn na tej wodzie bez przerwy kołatać się może. Nosi ono nazwę źródła pani Halszki i nikt tu inaczey go nie nazywa. Ponad niem w górze znajduje się obszerna, naturalna w skale grot. Otóż niegdyś, bardzo dawno temu, jakaś pani nieznaną, mieniącą się Halszką, przybyła tu z rycerzami i w grocie tej obrała sobie mieszkanie. Wkrótce potem pustelnica przebrała się i została młynarką, w tym właśnie poblizkim młynie. Rycerze jej nie odstępowali dla straży, mieszcząc się w grocie, zkad nieraz dopuszczali się rabunków, napadając wsie i dworki okoliczne. Mieszkańcy, przejęci trwogą, zaczęli już myśleć o sposobach pozbycia się tej klęski, gdy naraz pani Halszka z rycerstwem

znikła bez wieści i tylko jej imię na wieki w ustach ludu pozostało. Była to zapewne awanturka miłosa jednego ze starostów.

Bol. Ol.

Kronika tygodniowa.

Zeszły tydzień był znowu tygodniem silnie muzycznym, i oprócz koncertów, przyniósł nam nabytek poważny, bo nową operę p. Münchheimera p. t. „Stradyota.“ Opera ta ze strony publiki doznała powodzenia, ze strony zaś krytyki muzycznej... zobaczymy!

Pan Zarębski dał drugi koncert i zyskał na nim ogólną sympatią słuchaczy i sute oklaski. Panowie sprawozdawcy poczęli mu się przysłuchiwać baczniej, trochę co do niego zdanie pierwotnie powzięte zmienili i wyszło na to, że jeżeli młody artysta nie jest jeszcze pierwszorzędnym, to będzie nim za lat kilka.

Pan Górski... przy pracy sumiennej, przy studjach nad muzyką poważnych, przy programie niezmiernie zajmującym i pięknym, grał przed szeszupłem kołem słuchaczy. Na koncercie jego dała się poraz pierwszy słyszeć panna Syrwid, chlubnie świadcząc o wzorowym kierunku swego nauczyciela pana Sterlinga. Patrzyliśmy ze smutkiem na nieliczną publiczność, która istotnie nowości tylko szuka, i to nie nowości.. muzycznych. Gdzież ta okrzyczana muzykalność nasza, gdy to co istotnie piękne nie nęci, a to co dziwaczne, ściągają tłumy?...

Dużo się u nas prawi temi czasy o *godności* dziennikarskiej, o powołaniu dziennikarskiem, o powołaniu dziennikarskiej bezstronności i t. p. rzeczach arcy-pięknych, jeżeli istnieją nie w czczej gadaninie o zasadach, ale w zasad tych stosowaniu. Niestety jednak, od gadania do stosowania tu i owdzie daleko, bardzo daleko, a piękne słowa i wzniosłe deklamacye czeyim tylko dymem ulatują, na świadectwo prawdy, jak się to ją pojmuje i... szanuje.

Oto malenki przykładzik.

Cobyś powiedział, bezstronny czytelniku, gdybyś o piśmie, którego jeszcze ani jeden numer nie wyszedł, następujące przeczytał zdanie:

„Pojawienie się (tego pisma) raduje nas tembardziej, że w niem pozyskamy nareszcie to, czego Warszawie *oddawna* braknąć zaczęło (1): dziennik poświęcony przeważnie sprawom naszego miasta, a traktujący te sprawy z umiarkowaniem, z godnością (1), bez bombastyczności, mającej zastępować powagę i bez trywialności, mającej zastępować dowcip Jesteśmy pewni (?) że nasza publiczność wprędce rozpozna i oceni to odrębne a szlachetne (!) stanowisko, jakie (ów dziennik) między pismami (podobnego) zakroju zająć *zamierza*.“

Czy nie prawda, że ten sąd, na wróżbach oparty, jest zjawiskiem *sui generis* wybornym, któremu niebrak oświecenia bengalskim ogniem... reklamistowskiej poezyi?.. Biedny, nieurodzony jeszcze dzienniku, jakże niebacznych masz przyjaciół!

Wyszedł już VI tom wspaniałej edycji *Dzieł Wincentego Pola*, w pierwszym wydaniu zbiorowym. W tomie tym znajdują się prace poety prozą pisane, a mianowicie Pisma geograficzne pomniejszych i Geografia Ziemi świętej. Prace to naukowe, ale kręcone językiem żywym, w opisach świetnych kolorytem, w opowieści płynnej, przystępnej dla pojęcia ogółu, a mimo to posiadającej głębokość poglądu istotnie naukowego.

Nie wiemy o ile ta zupełna edycja dzieł W. Pola znalazła szerokie powodzenie i rozpowszechnienie u publiczności, sądzymy przecie, że nie będzie to praca i nakład dla wydawcy (F. H. Richtera we Lwowie) stracony. Każda biblioteka domowa, zaopatrzona w książki wartości rzeczywistej, z pewnością, prędzej czy później, zapragnie posiadania tych *Dzieł*, pięknych nietylko dla

treści, ale i dla zewnętrznej swój szaty. Smutnąby też była obojętność ogółu dla prac poety, który tak niedawno jeszcze budził serdeczne porwy i myśli szlachetne.

„Bajek Lafontaine'a,“ nakładem J. Noskowskiego, a w przekładzie p. Władysława Noskowskiego, z dołączeniem tłumaczeń wzorowych Mickiewicza, Kniaźnina, Niemcewicza i innych, wyszła księga XI. Z początkiem roku przyszłego piękne to wydawnictwo ukończonem zostanie, druk zaś jego już jest dokonany w zupełności. Przypominamy o tém wszystkim tym, którzyby pragnęli posiadać to dzieło, że wkrótce cena jego zostanie podwyższoną.

Z dziedziny piśmiennictwa peryodycznego godzi się zanotować, że oba Kuryery, Codzienny i Warszawski, wychodzą od dni kilku w suknie trochę odmienniej. Pierwszy powiększył się co do rozmiarów... stał się podobnym do gazet zewnętrznej swą formą; Kuryer Warszawski zaś powiększył swoją objętość, nie zmieniając formatu.

„Nowiny niedzielne“ zmieniły wydawcę, przeszedłszy na własność p. Erazma Piltza. Z „niedzielnich“ chcą się stać świątecznymi i mają wychodzić we wszystkie święta i dni galowe.

Wkrótce też ukaże się numer próbny „Gonia teatralnego“... ilustrowanego fotograficznym sposobem. Będzie to nowość i to tém większa, że ów „Goniec,“ teatralnym zatytułowany, obok sceny traktować będzie i arenę... wyścigową. Dziwne to trochę zestawienie, ale... w duchu czasu. Prawdą bowiem jest, że ci, którzy uprawiają sport, umieją także rzucać bukiety pod drobne stopy piękności scenicznych.

Podobno zarząd Kasy pożyczkowej przemysłowców warszawskich powziął chwalebny zamiar urządzenia kas filialnych, w dzielnicach rogategatek Wolskich, soleckiej i na Pradze, w celu przychodzenia z pomocą pieniężną zamieszkałej tam gęsto ludności fabrycznej.

Pomysł to chwalebny i w urzeczywistnieniu wiele pożyteczny. Oby tylko przyszedł do skutku!

Ludność nasza fabryczna, szczególnie w chwilach stagnacji przemysłowej, a już bezwarunkowo w porze zimowej, gdy zarobek maleje, pomocy takiej potrzebuje bardzo. Nieprzewidziane klęski, choroby, brak zajęcia w porze zimowej, często bardzo przytrafiający się, rzucają tę biedną ludność na pastwę wszelkiego rodzaju lichwiarzom i filutom. Ogromne procenta, wyludzone w imię nieodzownej potrzeby, najczęściej raz zaplątanemu dłużnikowi nigdy już nie pozwalają wybrnąć z przepaści długów. Kredyt więc drobny, na odsetki umiarkowane, może ludności fabrycznej oddać przysługę ogromną, nie tylko już materialną, ale i moralną. Biędny bowiem rzemieślnik, zawikłany w sprawy lichwiarskie, widząc że nigdy już nie zdola otrząsnąć się z trapiącej władzy swojego wierzyciela, że zatem nie dorobi się spokoju i dobrobytu—z rozpaczyciecia się do kieliszka i w wólcie topi pamięć o swój niedoli, lecz zarazem... i swoje człowieczeństwo.

Kasa pożyczkowa przemysłowców dobrze się zasługuje społeczeństwu, rośnie więc i wzmagają się szybko, co znowu obowiązuje ją do spotęgowania pożytków, jakie ze swój działalności zapewnia. Rozwój jej prawdziwy i niezachwiany pozwolił jej stanąć na takiej stopie, że rozszerzenie działalności, choćby sposobem próby, na straty narazić jej nie może. Taką próbą mogą być owe kasy filialne, o których mowa, a że się ona powiedzie, że pomyślnie skutki sprowadzi, tego zgóry pewnym być można.

„Izraelita“ gniewa się na nas za korespondencją z Wilna, umieszczoną w Tygodniku przed parą tygodni.

Gniewa się... bo korespondent wileński twierdzi, iż w grodzie Gedyminowym wszystko jest

w rękach Żydów i zachęca chrześcian do współubiegania się z Żydami w handlu i przemyśle.

Gniewa się nawet i o to, że korespondent daje za przykład Żydów, jako ludzi zabiegłych, ruchliwych, na małym poprzestających, czynnych i energicznych.

Gdyby był korespondent powiedział: Żydzi są leniwi, opieszali, brak im energii i wytrwałości i dlatego nie rywalizujcie z nimi, ale pomagajcie im... „Izraelita“ nie gniewałby się zapewne. Ma on w podejrzeniu pochwały naszego korespondenta; nie ufa im i widzi w nich podstęp. „Izraelita“ zresztą smuci się widocznie, iż ludzie nie mogą pojąć tej bardzo jasnej, wedle niego, prawdy, że konkurencja z Żydami na jakimkolwiek polu jest objawem średniowiecznego prześladowania. Żyd powinien mieć zupełną swobodę działania i drogę gładką... ktokolwiek mu w niej zawadza, choćby dlatego tylko, że po niej idzie, ten jest prześladowcą, inkwizytorem, zafałsem, ciemnym pacholkiem nietolerancyjnej i religijniej.

O „Izraelito“... gdzie są twoje zarady pojednawcze?... Dlaczego tak bacznie śledzisz słówko każde, niepowiedziane bynajmniej przeciwko Żydom, lecz tylko o nich, ze stanowiska spełnionego faktu? Powiedz szczerze, o co ci chodzi? Kto chce odbierać twoim współwyznawcom ich pracę, ich prawa do niej i do zarobku? kto chce ich prześladować i do nędzy doprowadzać? Czy nie ci czasem, co zbawienie od nędzy we własnej pracy tylko widzą? Doprawdy, „Izraelito,“ jesteś nazbyt drażliwym, a prawisz tak pięknie o pojednaniu!

Mamy pod ręką sprawozdanie roczne Zakładu rekodzielniczego dla kobiet, z działalności jego w ciągu roku 1876. Trzeci to zatem rok istnienia tego zakładu, rok w którym rezultaty nie są bynajmniej pomyślniejsze, niż w latach poprzednich.

Samo już sprawozdanie czyni następujące uwagi, oparte na cyrach, poczerpniętych z ruchu zakładu: 1) że najwięcej uczenie było z wykształceniem wyższym; 2) że przewyżka co do liczby uczenie miejscowych nad liczbą przybyłych z prowincji lub cesarstwa, w ciągu ubiegłego trzylecia, jest bardzo mała; 3) że stosunek uczeniektóre ukończyły naukę do niekończących, przedstawia się jak 5 1/2 do 1; a wreszcie 4) że z liczby kilkunastu rzemiosł, ogłaszanych przez program zarządu, tylko kilka zaledwie znajduje chętne uczenie.

My ze swój strony na uwagi te odpowiadamy wnioskami: 1) że brak wykształcenia prowadzi za sobą brak poczucia potrzeby pracy, a témbardziej posiadania jakiejś specjalności; 2) że więcej mamy kobiet zarabiających na życie w Warszawie, niż na prowincji, i więcej zresztą środków ukształcenia się w specjalnościach rzemiosł kobietom przystępnych; 3) że brak wytrwałości nie jest w uczących się kobietach zjawiskiem zbyt wyjątkowym,—i nakoniec 4) że nauka rzemiosł, jako środek zarobku, ograniczać się musi z konieczności do tych rzemiosł, które dają zarobek najpewniejszy.

W ciągu roku 1876 Zakład miał uczenie 151, prawie wyłącznie z klasy średniej. Córki obywateli ziemskich było 45, urzędników 50, i to są cyfry najpokaźniejsze. Kobiet zamężnych było między uczenicami 13, z tych zaś 8 żon urzędników.

Ukończyło całkowity kurs ze świadectwami uzdolnienia osób 100, nie ukończyło 51. Wypadaloby więc, że w roku bieżącym stosunek pierwszych do drugich przedstawia się jak 2 do 1, nie zaś jak 6 do 1. Krój sukien miał uczenie najwięcej, bo 77; krój bielizny najmniejszej—bo 4 tylko.

Przegląd polityki zagranicznej.

15 grudnia.

Uwaga świata całego zwróconą jest obecnie ku Stambułowi, kędy pełnomocnicy wielkich mo-

carstw zebrał się dla narady i rozstrzygnąć mają losy chrześcian półwyspu bałkańskiego. Wbrew wszelkim pogłoskom, rozsiwanym poprzednio przez pesymistów, przedwstępne narady wypadły w duchu nader pojednawczym. Na zebraniu w d. 11 b. m., odbytem pod przewodnictwem generała Ignatiewa, postanowiono dla Czarnogórze: sprostowanie granicy przez komisją międzynarodową i przyłączenie 12 powiatów, a zato ks. czarnogórski pojedzie do Stambułu i złoży hold sułtanowi; dla Serbii: opuszczenie terytorium przez wojska tureckie, zwrot jeńców, przedłużenie zawieszenia broni do zawarcia pokoju i sprostowanie granic, przez przyłączenie do Serbii Małego Zwornika. Telegram dodaje, że Ignatiew przyjmuje okupacją Bułgarii przez Belgów lub Szwajcarów, lecz nie wspomina wcale o naradach, w przedmiocie rękojmi reform w prowincjach tureckich. Mocarstwa, jak widzieliśmy, weszły na drogę ustępstw, i bardzo być może, iż nawet umiejscowionej wojnie zapobiedz zdolają.

Pogłoski o wojowniczym usposobieniu Porty opierają się głównie na okólniku tureckim z d. 30 z. m. Jest to odpowiedź Savfeta-baszy na okólnik księcia Gerczakowa, wystosowany do mocarstw, w której Porta stara się zrzucić z siebie odpowiedzialność za wypadki zaszłe w Bułgarii i innych prowincjach. W dodatku do okólnika zamieszczono w dziennikach wiedeńskich notę ambasady tureckiej, ze stanowczym oświadczeniem się przeciw wszelkiej zbrojnej okupacji prowincji tureckich. Wszystko to jednak niebardzo jest groźne i nie zapowiada natychmiastowego starcia. Niebezpieczeństwo leży w tém, czy konferencyi uda się obmyśleć dostateczne dla chrześcian, a niezbyt drażliwe dla Turcji, rękojmie.

O ile sędzić można z lakonicznych sprawozdań telegramów, przesilenie ministeryalne w Paryżu zbliża się ku końcowi. Pan Dufaure, naraziwszy się Izbie deputowanych kwestyą pogrzebów cywilnych i budżetu wyznań, zmuszony został zażądać swego uwolnienia. Inaczej rzecz się ma z innymi ministrami, których większość znajduje i dziś jeszcze silne w Izbie poparcie. Depesza z d. 12 b. m. doniosła, że prezydent powołał p. Juliusza Simona na prezesa gabinetu, do składu którego należeć będą ks. Decazes, oraz pp. Berthault i Martel. Listy tej nie należy wszakże uważać za stanowczą, dziś bowiem dopiero (w d. 15 b. m.) dziennik urzędowy ogłosił miał ostateczny skład gabinetu.

Podwyższenie cel na granicach rosyjskich, (przez zażądanie wypłat w złocie) wywołało żywe rozprawy w parlamencie niemieckim. Deputowany Richter utrzymywał, że podwyższenie to szkodliwym jest dla handlu niemieckiego i dopytywał się rządu, jakich użyje środków, celem uniknięcia szkód spodziewanych. Rząd oświadczył się za clem odwetowym, a ks. Bismarck dodał, że uważa to jedynie jako czasowy środek finansowy, kwestya ta bowiem rozstrzygniętą zostanie przy odnowieniu traktatów handlowych. Ostatecznie, zdaniem kanclerza, inicjatywa należy do rady związkowej i do parlamentu, kanclerz zaś odpowiedzialnym być może tylko za wykonanie ich postanowień.

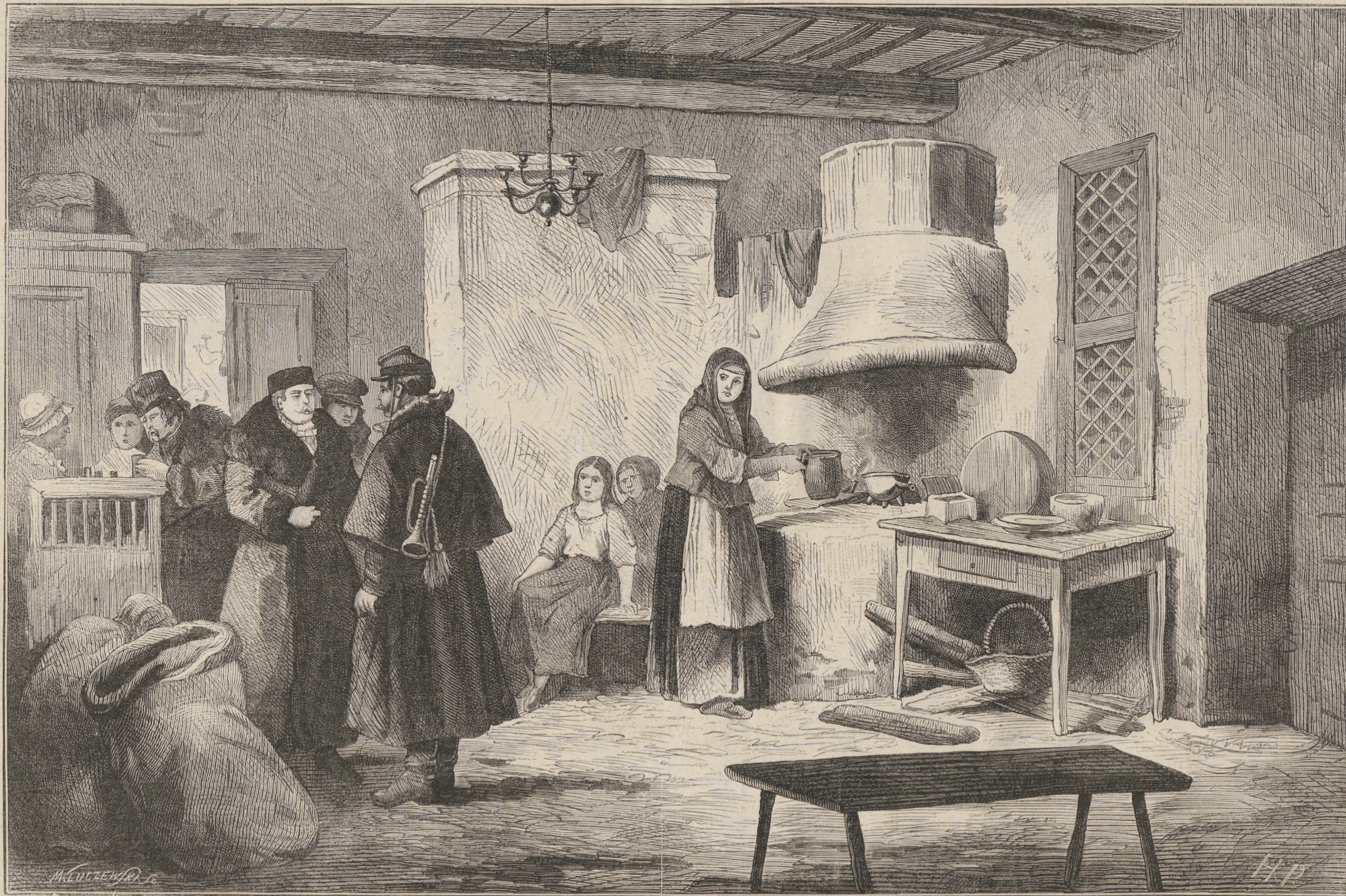
OSTATNIE TELEGRAMY. *Konstantynopol 12 grud.* Dziś odbyło się pierwsze posiedzenie konferencyi. Prezesem zebrania mianowany generał Ignatiew; sekretarzem p. de Mony, sekretarz ambasady francuskiej. Usposobienie pojednawcze wzięło górę.

Konstantynopol, 13 grudnia. Podobno konferencya uznała konieczność mianowania gubernatorów chrześciańskich w prowincjach powstańczych Turcji.

Paryż, 13 grudnia. W dzienniku rządowym ogłoszono skład nowego gabinetu, podług wczorajszego telegramu. (Simon, Berthault, Martel.) Martel chory.

Ateń, 13 grudnia. Nowy gabinet Deligeorgisa upadł. Komunduros wezwał Zajmisa, Trikipisa i Deligeorgisa do wybrania prezesa ministeryum.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Tim. s.)



Na przeprzegu. Rysunek Henryka Pillatti'ego.



Elegia. Kopia obrazu Henryka Siemiradzkiego. (Zob. opis w n. 49 Tygodnika).

Medal wystawy filadelfijskiej.

Dnia 11 listopada r. b. zamknięto świetne amerykańskie widowisko, godne rocznicy stuletniego istnienia rzeczypospolitej za-atlantyckiej, opisane przez nas w swoim czasie obszernie i które niemało zajęcia wzbudziło pomiędzy publicznością polską, nęcąc nawet za morze zastęp naszych podróżników.

Wystawa ta jubileuszowa prześcignęła nie tylko pod względem rozmiaru wszelkie podobne międzynarodowe uroczystości, lecz po sprawdzeniu swych rezultatów finansowych, dowiodła energii i zamożności obywateli amerykańskich. Pomimo iż ledwie kilkanaście tysięcy Europejczyków ją odwiedziło, że skwary letnie, nieznanie dotąd nawet w Filadelfii, przez trzy miesiące nie pozwalały publiczności gromadzić się w parku, oraz że żywsze niż kiedykolwiek wybory zajmowały w jesieni uwagę Amerykanów—42 miliony mieszkańców rzeczypospolitej dostarczyły 9,907,000 gości, między którymi było 8,004,013 płacących, tak iż dochód zebrany u kołowrotów wystawy wynosił 19 milionów franków, czyli o 9 milionów franków więcej niż w Paryżu. Pod względem liczby zwiedzających i dochodu, żadna europejska wystawa, prócz paryzkiej, nie zrównała amerykańskiej.

Oprócz wymienionych 19 milionów, otrzymał zarząd wystawy 3 miliony franków za koncesje restauracyj i zakładów fotograficznych, za prawo drukowania katalogów i t. p., inne zaś 3 miliony jako 15% od okazów sprzedanych w obrębie wystawy. Słynny pawilon pamiątkowy, kosztujący 7½ milionów franków, zostanie własnością Stanu Pensylwanii, na użytek narodowego muzeum, albo na Kapitol (pałac parlamentu); główny pałac sprzedano za 5 milionów franków towarzystwu akcyjnemu, gwoli utrzymywania w nim nieustającej wystawy, na wzór londyńskiej; 7 milionów zaś wpłynę do kasy zarządu ze sprzedaży szkła, żelaza i budulca innych pałaców. Słowem, po odtrąceniu kosztów utrzymania wystawy (9 milionów franków), spłaceniu długów, zwrocie co do grosza zasiłku danego przez rząd związkowy lub pojedyncze Stany, akcyonaryusze odbiorą 80% swoich wkładów. Zwrot ten dla nich będzie tem przyjemniejszy, iż ludzie ci podrywali akcyje li z patriotyzmu i pouczeni przykładem innych wystaw, nie spodziewali się odebrania najmniejszej nawet cząstki swoich wkładów. Gdyby oni sprzedali pawilon pamiątkowy, zamiast ofiarowania go Pensylwanii, czysty zysk z wystawy wynosiłby 3 miliony franków.

Sprzedż i rozwożenie okazów zawartych w pałacach postępuje różnie; za kilka miesięcy tylko cudny park, stworzony przez zarząd, dwa wspomniane pałace i śliczne japońskie, angielskie i t. p. dworki, darowane Filadelfii przez rządy zagraniczne, ostaną się wobec burzących dłoni handlarzy, cieśli i mularzy, a historia wpisze wspomnienie tej szczęśliwej wystawy do swjej księgi, z pochwałą dla mieszkańców Filadelfii za ich wyrozumiałość dla gości, których w jednym dniu październikowym 290,000 zgromadziło się w obrębie miasta i odwiedziło wystawę, podczas gdy najwięcej 190,000 widywano naraz w pałacu paryzkim. Pomimo tego natłoku, umiarkowani mieszkańcy fabrycznej stolicy Ameryki nie podwyższyli cen jadła, napojów i pomieszkani, nie dopuszczając się zdzierstw, na wzór wiedeńskich.

Oprócz wspomnienia miłego, oraz pałaców, zostaną jeszcze medale. Według pierwotnego założenia miano ich odbić 6 000, trzy tysiące dla wystawców amerykańskich i trzy dla europejskich. Odbito je na mocy aktu kongresu amerykańskiego, w mennicy filadelfijskiej, słynnej z roboty delikatnej. Nie zachodzi pomiędzy niemi żadna różnica klas, a do każdego medalu będzie dołączony dyplom honorowy, wyszczególniający za jaki przedmiot i jaką zaletę tego przedmiotu obdarzyła wystawcę „rzeczpospolita amerykańska“ dołączonym brązowym medalem. Połobiznę jednego z nich podajemy w dzisiejszym numerze naszego pisma, w wielkości naturalnej.

Medal ten przedstawia na jednej stronie Kolumbię, z wieńcem laurowym w jednej dłoni, drugą zaś opartą na tarczy z orłem amerykańskim i chorągwią w pręgi. Przed nią leżą godła przemysłu i biust prezydenta (Granta); za nią dostrzegamy fabrykę, albo inny zakład przemysłowy. Gwiazdy amerykańskie (38, jedna na każdy Stan) oplatają ten obraz. Cztery medaliony pomiędzy gwiazdami przedstawiają Azję, Europę, Afrykę i Australię, które się przyczyniły do uświetnienia wystawy.

Na odwrotnej stronie medalu czytamy napisy: *Internation. Exhibition, Philadel. MDCCCLXXVI* (Międzynarodowa wystawa, Filadelfia 1876); oraz *Awarded by United States Centennial Commission* (udzielony przez jubileuszową komisję Stanów Zjednoczonych).

Nie podpada wątpliwości, że pewna liczba podobnych medali dojdzie rąk wystawców polskich, albowiem mniej więcej wypadają jeden medal na pięciu wystawców (6000 na 30,000), wyroby zaś naszego szczonego hufca przemysłowców otrzymały prawdopodobnie tę przeciętną liczbę nagród. Zanim takowe będą im przysłane drogą urzędową, wyrażamy życzenie, aby jaknajwięcej tego rodzaju „orderów przemysłu“ zaszczyliło rodaków naszych, przyczyniając się przez to zarazem do materialnego rozwoju naszego rękodzielnictwa, zachętą rozgłosu i popytu na towary, których okazy za oceanem uwieńczono.

WYSTAWA

Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

(Dalszy ciąg).

Pięknym, z podobnej sfery rodzajowej, obrazkiem jest płótno p. *Sznerera*; zestawiając nawet powyższy z obecnym powiedzielibyśmy, że p. *Szerner* z większą precyzją rzecz swą wykonał, niż p. *Kurella*. Jest to scena „Przed szynkiem“, przy rogatkach większego miasta, lub małymiasteczkowych. Widzisz tu chłopków i mieszczan, malowanych i rysowanych wybornie, plastycznie, z wybitnym talentem. Spozstrzegasz ruch, różnorodność, obok naturalności i swobody. Częścią zaś najcharakterystyczniejszą jest sam dom zajezdny, pokryty dachem z gontów i dzielący się na jakieś odłamy. Patrzącemu na ten dach przypomina się oberża, opisana w „Panu Tadeuszu“, nie pod względem podobieństwa, lecz co do motywów oryginalnych. Dach ten, niby szczyt pagody indyjskiej, przytłacza niskie, żółte ściany, przy których gromadzą się przejezdni i przechodzący. Przezroczystość cienia, padającego z dachu na wyższą część ściany, odznacza się dziwnie wytwornym artystycznym smakiem. Technika szczególnie p. *Sznerera* zasługuje na uznanie. Drobiazgową sumienną odrobieniem w obrazach tego artysty nie tworzy, jak u innych niektórych, pstrocinny lub lapidarności. Figury na przykład, zyskując skutkiem tej sumienności na precyzji, wyrazie, charakterystyce, ściśle jednak podciągnięte są pod wymagania całości kompozycji. Słowem p. *Szerner* w obrazach swoich jest zarówno trafny spozstrzegaczem, jak artystą, który przebył długie i staranne studia. Ale takiego też tylko zakroju obrazy udają mu się najlepiej; w scenach, gdzie chodzi o wybitność lub grę rysów psychiczną, nie widzieliśmy równie szczęśliwych prac p. *Sznerera*.

Sceny, do których pomysły czerpią się w początkowych warstwach ludowych (a takie, zwłaszcza teraz, nad inne przekłada p. *Dyleczyński*) w razie szczęśliwej i dosadnej charakterystyki, mogłyby stać się dla tego artysty bogatym materiałem. Żywo to widać pojmując p. *Dyleczyński*, ale czy z braku środków, czy skrzętności, ogranicza się on kilkoma typami, które mu zdają się wystarczać. Jakiś na przykład białowłosa, miły chłopczyzna w trzech idących po sobie obrazach powtarza się ciągle, służąc zagłówny przedmiot kom-

pozycji. Widzieliśmy tego chłopczyka w postaci ucznia, skazanego na chleb i wodę; widzieliśmy go przy śniadaniu, w ostatnim zaś obrazie oglądamy go znowu jako sprawcę zakłopotania matki, po stłuczeniu talerza. Bez wielkiego jednak zajęcia mija się to płótno. W tych twarzach matki i domowników, twarzach niby zaalarmowanych wypadkiem, niema charakterów, siły, gry rysów, różnic fizyologicznych, niema różnorodności; upozowano je jakby do zdjęcia z nich fotograficznych podobizn, a wypadek o który chodzi służy tylko jako pozór do wywołania w nich ruchu. Ale ruchu tego brak właśnie, brak choćby takiej prawdy, jaką spotykamy w obrazach (litografiach) ludowych Piwarskiego. Sceny z życia ludowego tę swoją wyższość w bogactwie nad innymi, że w dziedzinie ich niema wygładzenia, niema równi, pod którą powszechność podciąga jednostki. W wybuchach ludzi z gminu, w ich radościach i smutkach, cała się dusza przebija; nie umieją się oni, i nawet nie chcą, miarkować; ztąd łatwiej pomiędzy nimi znaleźć typy ciekawe, wybitne, jeśli nie pod względem podniosłości, to pod względem siły wyrazu.

Ładnej treści obrazek dał nam p. *Gerson*, nazwawszy go „Dzień dobry.“ Poranek, okno otwarte na ogród; przez to okno, na tle świeżej zieleności, widać twarz i barki przechodzącego młodzieńca, ze strzelbą na ramieniu, który widocznie kieruje owo tytułowe powitanie do tej, którą się zajęło jego serce. Tymczasem ani przypuszcza, że jego dzisiejsze „dzień dobry“ w wielki kłopot wprawilo powitaną, bo wpadło do jej pokoju właśnie w chwili, gdy w ranniej białiznie zabięrała się do umycia. Kryje się więc w kącie pokoju, przytulona do ściany, niby biały posąg. Scena tak wdzięczna, pod penzlem p. *Gersona* mogłaby się daleko lepiej przedstawić. W malowaniu i rysunku znać jakąś dorywczość; ani w obnażonych ramionach, ani w rękach, ani w twarzy nie ma wyrobienia, któreby jedynie nadać mogło wagę tej zgrabnej kompozycji.

P. *Łoś Włodzimierz* w obrazach swoich, mających po większej części za przedmiot sceny wojskowych taborów, a głównie sceny konne, pośród równin Ukrainy, doszedł w tym rodzaju do niepospolitego wyrobienia. W ostatnim na przykład obrazie, zatytułowanym „U studni“, mnóstwo ładnie ugrupowanych koników stanowi całość bardzo przyjemną. Nie zachwycasz się wprawdzie żadnym z nich po szczególe, ale musisz przyznać, że malowane są zręcznie, z zachowaniem barwy miejscowej, dającej poznać, że znajdujemy się w pobliżu stepów.

Zgrabnym jest także obrazkiem „Placówka“, w postaci żołnierza na białym stepowym koniu, podczas nocy księżycowej. Jest w tej kompozycji lekki ślad czaru, który wytwarza magiczny wpływ cichej, pogodnej nocy i niebezpieczeństwo, zdające się otaczać czujnego jeźdźcę, wraz z białym jego konikiem.

Podpatrzyc naturę w najdrobniejszych nawet objawach jej życia, barw i kształtów; podsłuchać czem szepczą nasze pola, piaski, lany dojrzałym zbożem pokryte, nawet ugory chwastami zarosłe; pochwycić ludowe typy na gorącym życia uczynku i wszelkimi pożądaniami artystycznych poczuć zatopić się w czystej prawdzie, nieosłoniętej i nieupięknionej niczem, i z takiego sztuki traktowania cel sobie jedyny założyć—wszystko to zdaje się być zadaniem, do którego dążą najmłodszy nasi malarze.

Do malarzy takich, niezaprzeczenie utalentowanych, należy p. *Masłowski*, który świeżo wystąpił na wystawie z obrazami z powyższej dziedziny. Dał nam na początek „Oweczarka“ grającego na fletni pośród spalonego oł słońca ugoru, pokrytego bogatą roślinnością dziewanny, ostów i maczków purpurowych. Sama ta nowość coś znaczy; i to jest natura, i to jest prawda, a energiczny młody artysta, wierny raz powziętemu godłu niecofania się przed żadną formą życia natury, dającego się penzlem uchwycić, zabrał się do tej pracy z zamiłowaniem. Jeżeli ona niezupełnie zadowala patrzącego, jeżeli w niej tu i owdzie przebija się jeszcze lekceważenie tych części kompozycji, któ-

re doświadczeni artyści zaliczają do najtrudniejszych, jak n. p. nieba, zato śmiało przyznać można p. Masłowskiemu, że w swoim malowidle dał dowody oryginalności i wydatności kierunku, co bardzo już wiele znaczy. Błędów bowiem pozbyć się łatwo, a kto posiada świadomość celu, ten kroczy drogą koniecznego rozwoju. W tym pastuszkę p. Masłowskiego wiele jest jeszcze chropowatości, znać w wykonaniu pominięcie niejednego rzutu penzla, mogącego przywrócić utraconą gdzieś harmonię linii, ale w tej gburowatej, prostaczęj, lecz typowo pochwyconej figurze jest charakter. Patrzyć na nią można bardzo przychylnie, z koniecznymi rozumie się zastrzeżeniami, co do większego niż dzisiaj uwzględnienia strony psychicznej w figurach. Zato na niebo, ponad tym krajobrazem się rozpościérające, wcale się godzić nie możemy; jest to kilka łutów brudno-niebieskiej farby, bez żadnej sztuki po płótnie rozproszonych. Znać w wykonaniu nieba, że artysta uważał tę część kompozycji za dodatkową, podrzędną, a dlaczego? trudno sobie wytłumaczyć. Tém więcéj że w innych jego obrazach niebo starannie i dobrze bywa wykonywane.

Ondyny, dziwożony, świtezianki, wieszczki jezior, rusalki, nimfy wód, gór i lasów! Wami to, młodsze wy siostry bogiń, zachwycali się poeci; waszych to postaci powiewnych używali Mickiewicz, Słowacki i Goszczyński do z bogacenia i przystrojenia swoich poematów i tragedij. Wy, zjawiające się wśród rosy porannej, wśród tajemniczych blasków srebrnego księżyca, jakieście srodze sponiewieranemi zostały w obrazie pana *Iwanowskiego*, wy mianowicie rusalki, których aż kilkanaście ugrupował ten malarz pośród jakiegoś ponurego trzęsawiska. Nie tu nagości waszój nie osłania, nawet piękno — najwspanialsza szata kobiety. Te twory karłowate, w liczbie kilkunastu, zdają się zebrane na płótnie po to, aby urągać nieśmiertelnemu pięknu, które, bądź co bądź, tu i owdzie znajduje się na ziemi.

Kilkanaście więc rzekomych rusalek otacza jakąś mizerną kobiécinę, o takichże lichych kształtach, jak one. Chodziło widać malarzowi o wytworzenie grona piękności, w świetnym ugrupowaniu. Ale jeżeli figury te poustawiane są rzeczywiście bez monotonności, tedy zabójczą jest monotonność ich brzydoty i karłowatości ich ciała. Zdają się być w rozmaitych swoich pozach malowane z jednego niewdzięcznego modelu, który miał zawiękłą głowę, za wąty tors i zaniekkształtnie zbudowane nogi. Przytém koloryt ich ciała mgławcy jest, słaby i tchnący jakoby wywiędłością. Słowem niepodobna się dość wydziwić, że ta szczególna produkcja znalazła się na wystawie. Jako studyum nawet żadnej nie posiada ona zalety. Im bardziej tajemniczy, powabny, powiewny, barwny świat legendowy wzięty tu został za przedmiot, tém dotkliwiej daje się uczuć jego sprofanowanie.

„Moja żona i ja;“ pod takim tytułem dał nam p. *Witkiewicz* przyjemny obrazek zimowy. Kompozycja to nawskróś realna, bez żadnych motywów jakiejś taniój oryginalności. Bulany okrągły konik, zaprzężony do małych sanek, stoi przed domem wiejskim na śniegu, a tuż przy nim kilka osób, ubranych naturalnie po zimowemu. Nie można nic zarzucić ani temu konikowi, ani saneczkom, ani ubranym po zimowemu osobom. Rysunek dobry, malowanie zręczne i żywe; są to więc pewne zalety. Ale jest znowu coś w tym obrazku dziwnie trywialnego; jest jakiś rozbrat w kompozycji; niéma sceny, jest tylko ekspozycja martwa żywych przedmiotów. Sceny rodzajowe wymagają koniecznie powiązania, odpowiedności, stosunku; na dobry rodzajowy obraz za mało samego portretowania danych osób, zwierząt lub rzeczy; muszą one być albo typowe, albo tworzyć scenę, inaczej martwożą zawsze trącić będą.

Lepszym już daleko pod względem tych wymagań, choć niższym o wiele od poprzedniego pod względem wykonania, jest inny tegoż artysty obrazek, zatytułowany „Na Uralu.“ Trzy konie, unoszące dwóch podróżnych w kibitce, pośród stepu, pędzą prawdziwym galopem, w zawody

z wichrami. W obrazku tym jest treść i charakterystyka, choć kilku zaledwie rysami uchwyconą, co dowodzi, że p. *Witkiewicz*, gdy zechce, z dziedziny konwencyonalności przerzucać się umieć w świat prawdziwego życia i energii.

W obrazie swoim p. t. „Martwa natura,“ zgromadził p. *Skinder* owoce, naczynia i bogate serwety w całość na pierwszy rzut oka pokazną. Po bliższém jednak wpatrzeniu się, niektóre tylko z tych przedmiotów zadowalają zupełnie. Wielka pomarańcza, kieliszek z winem i fajansowy dzban z ludzającą oddane są prawdą. Zato talérze, czy półmiski, przypominają nieco tarcze lub jakieś ozdoby. Pretensjonalnemi wydają się również dwie serwety, z niezmiernie grubéj tkaniny. W każdym razie obraz ten dowodzi, że przy talencie, który zeń przebijają, p. *Skinder* zdolnym jest do odwzorowywania nietylko takich przedmiotów, gdyż, koniec końcem, szkoda na nie poczucia kolorytu i plastyki, które przyznać malarzowi temu należy.

Cóż może przedstawić nasza ziemia, w skromne szaty swoje odziana? Główném jej bogactwem jest kłos zboża, jedynym wdziękiem niestały uśmiech słońca. A i rosa poranku i purpura zorzy narzucają téż na nią czasem swój płaszcz królewski, i róża, z wielkiém staraniem wypieszczona, rozkwita rozkoszą, i lilia biała rośnie w zakątku...

Wielu nazywa to ubóstwem... i spieszy w szczególniejsze strefy, kędy szumią kaskady i wiecznej wiosny zieloność słodkim cieniem dumających ogarnia. I mamy téż z tamtąd krajobrazy rozkoszne, gorące, świetne słonecznością...

Lecz mamy i takich artystów, którzy jakoby dumni i z ognia co ich pierś napętnia, i ze swego rodzimego ubóstwa, rozpatrują się po swojej ziemi z zachwytem, pragnąc tylko, aby oddać zdołali na płótnie to co widzą i to co odczuwają, oddać tak jak się obraz rzeczywisty duchowi ich przedstawia.

Tacy artyści to prawdziwi twórcy; tworzą bogactwo tam, gdzie niektórzy widzą nędzę lub pospolitość; zjawiają się przed nami niby szczęśliwi nurkowie, co nieznaną nam perłę wynaleźli, nie dlatego nieznaną, abyśmy jej nie widzieli sami, lecz dlatego, żeśmy jej taką jak oni nie odczuli. I wówczas dopiéro, gdy spostrzeżemy swojską piękność w artystycznym odtworze, przypominamy sobie, że i my także ociéraliśmy się o nią z blizką, że i my ją kochamy, tak jak artyści...

Jest to magia penzla, tryumf sztuki...

Spojrzymy teraz na obraz o takich motywach. Przed wami łąn dojrzałego zboża, przy którym zgarbieni pracą snują się żniwiarze, a tuż jeszcze bliżej porosły dzikiem zielskiem skrawek ugoru. Pośród fal owego zboża wznosi się zielona kępa drzew, niby ożywcza oaza w téj pozornéj pustyni, a dalej ciągną się zlekka połamane, prawie poziome linie płaszczyzn, zamykających widokrąg. Oto cały pomysł, oto wszystkie szczegóły kompozycji. Cóż w niej uroczego? zapytacie. Wszystko to jest uroczém, odpowiadamy. Takie śliczne, pogodne, takie rozkoszne światło pada na złotawą powierzchnię zbożowych łąnów, że ujrzawszy je nagle, przypominasz sobie wszystkie naraz lube chwile, wobec takich widoków kiedykolwiek przebyte. I ta prosta kępa, tak szczęśliwie tu rzucona pośród żółtej fali, że każdy konar tych drzewek wyznaczających dziwne nabiéra uroku i znaczenia... Technie z téj kępy cień i słodycz, technie dziwnym kontrastem wobec znojnój pracy. A ten ugór, oddalenie i niebo!...

Nie znać w téj pracy ani mozołów niepewnej ręki, ani studenckiego lekceważenia. Na pierwszy rzut oka bije z niej wytworność i dojrzałość artystyczna. Każda łodyga, każdy badylek, gdy z blizką, odrobione z sumiennocią; każda znowu płaszczyzna, w miarę oddalenia, zatapia się w miękich falach powietrza. Jedną tylko linią roślinności ostatniego planu wydaje się nam zbyt mocną.

Zresztą cóż dodać do opisu tego obrazu, kiedy główne jego bogactwo zawiera się w tysiącnych, niepochwyczonych dotknięciach, stanowiących tajem-

nicę wybitnego talentu? Najlepiej więc uczynimy, gdy powiemy, że twórcą tego krajobrazu, nazwanego „Widok Golarzewa,“ jest dobrze wam już z tylu prac znany p. *Feliks Brzozowski*.

„Et in Arcadia ego,“ pod tym tytułem namalował *Mikołaj Poussin* jeden z najpiękniejszych słonecznych pejzaży, które tak lubił. Blask, rozkosz, pogoda i ciepło, wszystkie motywa słodyczy i ziemskiego szczęścia, tchną z tego obrazu. U nas takich niéma motywów. Słońce całemi miesiącami chowa się za chmury. Ta rzeczywistość dotkliwa żywo się odbiła w duszy takiego artysty, jak p. *Brochocki*. Chee dać taką naturę, jaka mu się przedstawia, a że jest artystą prawdziwym, nie więcéj na tém sztuka nie traci. Co winien, jeżeli częściej mu się przedstawi zachmurzone i chłodne niebo, niż świetlane obrazy? Dba on głównie o to, jak i p. *Brzozowski*, aby ta prawda nie nabrała bezbarwnej trywialności. Niéma w pracach p. *Brochockiego* żadnych wyszukanych, uderzających przedmiotów. W krajobrazie na przykład „Z nadwiślańskich okolic,“ zakrecona nieco droga wiejska idzie po łagodném płaskowzgórzu i ginie na jego szczycie, z poza którego widać domostwa i drzewa; po obu stronach drogi ziemia wznosi się w postaci niezbyt urwistych zrębów, pokrytych trawą; na jednym z tych zrębów, po lewéj stronie, stoją dwa lekkie, niewielkie drzewka, rzucając mocny cień na murawę ku drodze. Ponieważ przytém niebo prawie całkowicie zasnuwane jest chmurami, widziemy więc że jest to owa chwila dobrze nam znana, gdy podczas niestałej pogody słońce wychyli się nagle z po za chmur i krajobrazu część oświeci. A jak wybornie uwydatniony tam ten chwilowy, niestały, polowiczny uśmiech słońca! Przechodząc w takiej chwili, taką drogą, znużeni monotonią krajobrazu, spuszcza głowę; wtém słońce wyjrzy i wszystkie kształty ożywi, odznaczy, upiększy, w barwne ujmie ramy... Podobnego wrażenia doznajemy, spojrzawszy na drobny obrazek p. *Brochockiego*. Tego dosyć...

Pan Malecki, należący także do zdolniejszych pejzażystów, często bardzo daje nam obrazy, przedstawiające ranki lub wieczory słoneczne, o pełnym blasku i czystém niebie. Dotąd jednakże obrazy te były po większej części intencją tylko. Niebu brakło zwykle przezroczywości i blasku, słonecznemu światłu ciepła, a oświetlonym w ten sposób przedmiotom barwnego życia, które w takich chwilach z całym występuje przepychem i rozmaitością. Lasy téż jego, laski, wybrzeża Wisły, krajobrazy wiejskie z téj dziedziny, mało budziły zająęcia, z powodu zimna, które się w każdą z takich kompozycji wciśkało. W dziś nadesłanym obrazie, przedstawiającym „Zachód słońca“ na skraju sosnowego lasu, znikły nagle wszystkie powyższe niedostatki, jakby za szczęśliwym powiewem natchnienia. Otacza was powietrze pól, ogrzanych słońcem, którego ostatnie ślady, padające jeszcze na drzewa i trawy, kąpią w morzu złotawego światła wszystkie szczegóły. Wszędzie harmonia, cisza, pogoda; zda ci się że czujesz balsamiczność i ciepło. Lekkie dymy unoszą się tu i owdzie z ponad ognisk pasterskich. W malowaniu jest miękkość, jakiej przedtém takżeśmy w tym artyście nie dostrzegali. Słowem w nowym tym obrazie p. *Malecki* dowiódł, co może rozwój i silna wola, przy żywym uczuciu i talencie. To ostatnie jego dzieło, z najtrudniejszój w krajobrazowości sfery, o ile świetne jest i żywe, o tyle pozbawione najmniejszego nawet śladu przesady.

(Dokończenie nastąpi).

SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze Tygodnika, str. 378, szpalta 3-ia, wiersz 45 od góry, zamiast *socjalizmu*, czytać należy *socynianizmu*.

Od J. C. z Rentfin otrzymaliśmy rs. 1 dla Biura informacyjnego o nędzy wyjątkowej.

FRYDERYK KAZMIRZ SKOBEL.

(Dokończenie.)

Niektórzy nazywali ś. p. Skobla purystą, zarzucając mu usilne tworzenie nowych wyrazów; zarzut ten atoli nie jest słusznym. Skobel, z małymi wyjątkami, nie tworzył nowych wyrazów, lecz wyrazy gotowe, już to w ustach ludu nasze-

kochanej swęj mowy ojczystęj w zborze ewangelickim, którego był najgorliwszym członkiem, a gdzie nabożeństwo odbywało się oddawna w języku niemieckim, obrany przełożonym świeckim zboru (na którym to stanowisku lat 10 pozostawał), postarał się o zaprowadzenie języka polskiego, tak iż obecnie nabożeństwo odbywa się na przemiany raz w języku polskim, drugi raz w niemieckim.

Do zasług zmarłego i to można policzyć, iż za

naukowe krakowskie, którego od dłuższego czasu był członkiem, przez kilka lat zrędu wybięrało go na wiceprezesa, oraz poruciło mu przewodniczenie w oddziale nauk przyrodzonych i lekarskich. Podczas przeobrażenia Towarzystwa w Akademię umiejętności, był jednym z pierwszych 12 członków czynnych, wybranych przez Towarzystwo naukowe. Po zatwierdzeniu akademii, Skobel przeniósł się do oddziału filologicznego, pragnąc pracować na polu swém ulubio-



Medal wystawy filadelfijskiej.

315

go, już w dziełach pisarzy dawniejszych napytkane, starał się przyswoić językowi naszemu i zastąpić nimi wyrażenia nieraz utarte i przyjęte, lecz z obcych języków pochodzące. Później głównie zwracał uwagę na sposób mówienia i zwroty cudzoziemskie, i pod tym względem wymienione dopiero co dziełko jest nieoszacowaną skarbnicą dla młodzieży, chcąc się nauczyć mówić i pisać poprawnie po polsku.

Dbając o jaknajwiększe rozpowszechnienie u-

jego staraniem, podczas gdy był rektorem uniwersytetu, wydano I-szytom pomnikowego dzieła Kodeksu dyplomatycznego uniwersytetu, obejmujący czas od 1365—1440 r. Również za jego staraniem na kruzgankach okazałego gmachu kolegium Jagiellońskiego umieszczono dwa piękne posągi kamienne założycieli uniwersytetu, Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły.

Wymienione, a tak rozliczne zasługi ś. p. Skobla nie zostały też bez uznania. Towarzystwo

ném; do końca też życia przewodniczył komisji językowej.

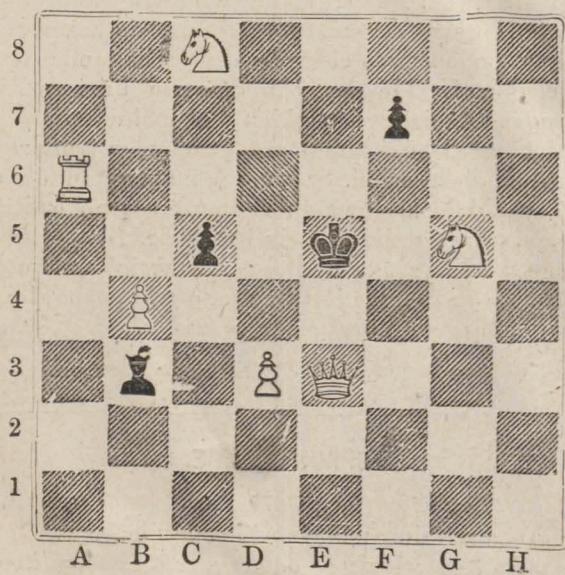
Z innych Towarzystw naukowych zaprosiły go do swego grona, jako członka honorowego: Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu, Towarzystwo lekarskie krakowskie, Towarzystwo lekarzy galicyjskich we Lwowie i Towarzystwo lekarzy polskich w Paryżu; jako członka korespondenta: Towarzystwa lekarskie warszawskie, wileńskie i podolskie; z zagranicznych Towarzystwo

SZACHY.

ZADANIE XLIII.

Białe zaczynają i dają mata za 4 posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 42.

Białe.

Czarne.

1) D4—D6.

KALENDARZ

HUMORYSTYCZNY-ILLUSTROWANY

„MUCHY”

dla porządnych ludzi

NA ROK 1877.

Opracowany przy spółdziale wszystkich prawie naszych humorystów; ozdobiony 75 rysunkami: Andriollego, Kostrzewskiego, Szymanowskiego, Szwojnickiego, Głębockiego, Paprockiego i Mucharskiego.

Objętości 14 arkuszy druku.

Opuścił prasę i jest do nabycia we wszystkich księgarniach

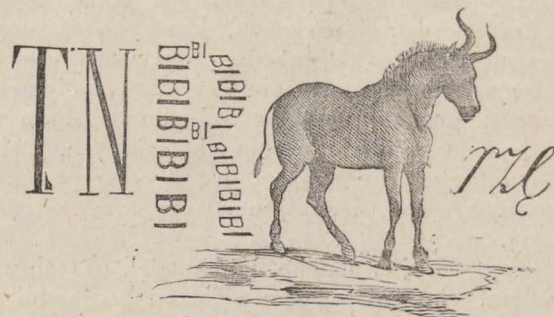
po cenie kop. 50,

z przesyłką do miejscowości Królestwa i Cesarstwa kop. 60.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

316



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 50. Lepszy bywa magnata ostatek, niżeli szlachcica dostatek.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumeratorów warszawskich Prospekt Tygodnika Ilustrowanego na rok 1877.

fizyczno-lekarskie w Królewcu i akademia lekarsko-chirurgiczna w Madrycie.

Ożeniony w r. 1837 z Florentyną z Czyżów, pozostawił jedyne go syna, Stanisława, dra medycyny, lekarza szpitala św. Ducha w Krakowie.

Całe życie zdrow i krzepki, powierchowością nie okazywał wcale lat które przeżył. W ostatnich dniach sierpnia r. b., powróciwszy z Krzeszowic, gdzie od lat kilku porę letnią na świeżym powietrzu przepędzał, zapadł na zdrowiu. Po kilkotygodniowych ciężkich cierpieniach, nastąpiło polepszenie; wstawał z łóżka, przechadzał się, zajmował nieco pracami naukowymi, a nawet zamyslał już o rozpoczęciu wykładów naukowych. Ale polepszenie było tylko pozornym; nastąpiło nagle pogorszenie i pod objawami porażenia narządów głosowych, gardła i języka, zakończył życie d. 25 listopada r. b.

Umarł jak żołnierz na stanowisku, nie porzucając prac naukowych do końca życia. Na śmiertelnym łożu jeszcze dopełniał korekty ulubionej swjej pracy, trzeciego oddziału uwag o skażeniu języka polskiego.

Na dwa dni przed zgonem ukończył 70 lat życia, kres po którego przejściu, podług praw obowiązujących, profesorowie winni ustąpić z katedry. S. p. Skobel nie doczekał się owego obowiązku usunięcia; można powiedzieć że umarł na katedrze, z której przez lat 42 do ukończenia przez siebie młodzieży przemawiał.

Więść o jego zgonie szybko się rozeszła po kraju i wywołała objawy żalu, okazane nie tylko w miejscu samém, ale nadsyłane i z okolic postronnych.

Pogrzeb, odbyty d. 28 listopada po południu, pomimo zimna, deszczu i śloty, zgromadził parę tysięcy osób obojętnej płci, między którymi znajdowali się członkowie akademii umiejętności, uniwersytet z rektorem i dziekanami, członkowie Towarzystwa lekarskiego, oraz wszyscy prawie lekarze krakowscy i niemało przybyłych na ten dzień, w celu oddania ostatniej usługi ukochanemu swemu niegdyś nauczycielowi. Orszak ów odprowadził zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku, gdzie nad grobem rzewnymi a wymownymi słowy pożegnał zmarłego nierozłączny od lat 50 towarzysz prac naukowych i przyjaciół, czcigodny prezes akademii umiejętności dr. Majer, przedstawiając zasługi zmarłego. Po krótkim przemówieniu pastora zboru ewangelickiego, złożono zwłoki do grobu rodzinnego.

Wspomnienie s. p. Skobla pozostanie do zgonu w sercach jego uczniów i przyjaciół, a prace dokonane tak na polu nauk lekarskich, jak i pod względem słownictwa, imię jego zapisały nawsze w dziejach piśmiennictwa polskiego.

Dr. Władysław Ściborowski.

LISTY ZE STOLICY WĘGIER,

profesora A. Pawińskiego.

V.

Jedna jeszcze, lecz już ostatnia, była zapowiedziana wycieczka do Magyarád, oraz do Bény, gdzie podobnie natrafiono na ślady ciekawych starożytności. Węgrzy widocznie pragnęli dobrze zasłużyć się swym gościom archeologom, pragnęli dać im poznać różne rodzaje wykopaliisk, a zarazem różne strony swego rodzinnego kraju. Wszędzie i ciągle widać było szczerę, serdeczne staranie, by cudzoziemcom, co Peszt swym pobytom zaszczytli, zapewnić jaknajwięcej pożytku naukowego, obok przyjemności i zabawy. Ale bo też widocznie Węgrzy przypuszczali, że gościom się nie zbraknie badać wystawę bogatą, uczęszczać codziennie po dwakroć na posiedzenia naukowe, praktycznie zajmować się archeologią w polu, pod gołym niebem, a wreszcie przy lada sposobności ucztować... To też niezbyt wielu zwolenników znalazła ta ostatnia wycieczka, która odbyć się miała po zamknięciu kongresu, a obliczo-

ną była nadto na cztery lub pięć dni, bo Magyarád i Bény, dokąd się uczestnicy wycieczki udać mieli, są to miejscowości o cały dzień drogi od stolicy odległe, leżące już niemal na pograniczu Moraw. Brakiem czasu skrepowani, nie mogliśmy podążyć, wraz z wybranym kółkiem około trzydziestu archeologów, w tę daleką od stolicy podróż, z tém silniejszym żalem, że ta ostatnia wycieczka raczej czysto archeologiczną wyprawą, niż zabawą towarzyską być miała. Nie doszła nas już nawet, z powodu wcześniejszego opuszczenia Pesztu, wiadomość jak się udała, jaki plon przyniosła ta ostatnia daleka wycieczka, więc o jej losach zamieścić wypadnie. Zwrócimy natomiast sprawozdaweze nasze pióro ku innemu przedmiotowi.

Oto czeka nas inna, również przyjemna, a mniej daleka wycieczka, także w bezpośrednim będąca związku z archeologią, w samym obrębie miasta: mamy się udać na wieczór do prezesa kongresu, pana Pulskiego, by spędzić tam, wśród przybyłych zdalekajak i zblizka archeologów, kilka chwil na towarzyskiej pogawędce. Może podąży wraz z nami polski czytelnik na zebranie madjarskie, by poznać je bliżej, a mianowicie samego gospodarza, którego zna Peszt cały, od magnata i ministra, do chłopca ulicznego... znają go Węgry całe. Pan Franciszek Pulszky (pisownia zmadjaryzowana) ma imię również głośne, jak niegdyś Franciszek Deak. Jest on obecnie dyrektorem muzeum narodowego, oraz inspektorem wszelkich zbiorów publicznych w królestwie węgierskiem. Nie temu wszakże stanowisku winien swój rozgłos szeroki. Przeszłość pełna pracy i trudu około dobra ogólnego, bogata w ciężkie przygody i przejścia, wyniosła go na ten piedestał uznania powszechnego. Spójrzmy bliżej w tę jasną choć burzliwą przeszłość prezesa kongresu archeologicznego.

Pan Pulski pochodzi z komitatu saroskiego, który leży w północnych Węgrzech, w górzystej stronie karpackiej, na południowym stoku gór, i graniczy najbliżiej od północy z tym powiatem Galicyi, w którym się miasteczko Dukla znajduje. Nieobce są zapewne czytelnikowi polskiemu owe okolice, znane z precudnych krajobrazów i lud ten góralski, którego mowę polską słysząc jeszcze i z drugiej strony, już od Węgier. Z owych to okolic pochodzi rodzina Pulskich. Węgrzy uważają dziś rodzinę tę za czysto madjarską. Nie chcemy w pana Pulskiego wmawiać, że nie jest Madjarem, skoro nim był w swych czynach politycznych przez całe swe życie i skoro sam się uważa za Madjara i kraj go ma za nieodrodzonego swego syna. Gdy jednak spoglądasz na to wypukłe a wyniosłe czoło, gdy widzisz ten szlachetny profil, ten nos podłużny a podbródek okrągławy, gdy patrzysz na to oblicze, któremu czarny wąs wyraz męzkości słowiańskiej nadaje, a w ciemnych, posępnych oczach łagodność karpackich góralsi się odbija, gotówes sobie przypomnieć, że nazwisko prezesa kongresu nie jest wcale madjarskiem, że rodzina pochodzi ze stron napół polskich, że byli niegdyś nawet w Polsce Pulscy, o których heraldyczne księgi węgierskie głoszą, iż się do Węgier w XVII wieku z Polski przenieśli. I oto daleki szczerpu polskiego potomek dziś w madjarski sposób się podpisuje i mieni się Madjarem, jak wielu jeszcze innych, którzy, niepomni pochodzenia, wraz z całym narodem groźnie nad góralsmi-Słowakami panują. A tymczasem ile to w Madjarów usiątkło krwi słowiańskiej, której, że tak powiem, uszlachetnienie swego typu fińsko-turańskiego zawdzięczają! Nie potrzeba być biegłym antropologiem, dość tylko uważnie spoglądać na twarze przesuwające się w północnych Węgrzech, żeby łatwo odróżnić oblicze słowiańskie od madjarskiego.

Rodzina Pulskich do zamożnych się liczyła. Fejerváry, wuj Franciszka Pulskiego, miał bogate w tymże komitacie saroskim kopalnie opalu. Młody Franciszek, po ukończeniu studiów prawnych w r. 1833, wcześnie podróżował wraz z wujem swym, zanyim miłośnikiem starożytności, po Włoszech, Francyi, Niemczech i Anglii. Podróż ta wpłynęła silnie na rozwój bogato wypo-

szanowanego umysłu, dając młodemu Pulskiemu możliwość poznania nie tylko pomników sztuki klasycznej, ale i życia całego umysłowego na Zachodzie. W „Dzienniku Węgra podróżującego po W. Brytanii (1837)” złożył Pulski, mający wtedy zaledwie lat 23, owoce spostrzeżeń swoich i badań naukowych. Akademia węgierska mianowała go za to swoim członkiem korespondentem, a tą samą godnością uczcił go również instytut archeologiczny w Rzymie. Te pierwsze atoli wawrzyny naukowe nie pobudziły młodego uczonego do dalszych w poczętym kierunku zajęć: życie polityczne ciągnęło go ku sobie większą, nieprzepartą siłą. Jako adwokat, na stanowisku, które onego czasu w Węgrzech otwierało szranki zawodu politycznego, przybył w r. 1839 Pulski do Pesztu, gdzie po raz pierwszy spotkał się z Franciszkiem Deakiem. Odtąd obu tych mężów łączyły węzły ściślejszej przyjaźni. Młody prawnik, w wieku lat dwudziestu czterech, pracował pod kierunkiem Deaka w ciągu całego trwania ówczesnego sejmu; przez zimę był czynnym w komitecie, zajmując się, jako sekretarz Deaka, redakcją projektowanego prawa wekslowego, które w kilka lat później uzyskało moc obowiązującą. Pragnąc szerszej działalności, przeniósł się Pulski do Wiednia, gdzie się znów oddał pracom literacko-dziennikarskim. Tu też połączył się węzłem małżeńskim z córką kupca Waltera, panną Teresą.

Pamiętny rok 1848 zastał młodego adwokata w majątku własnym, w komitacie saroskim. Na pierwszą wieść o ruchach marcowych w Peszcie przeniósł się Pulski do stolicy Węgier, by wstąpić do służby publicznej. Niebawem otrzymał polecenie przeniesienia się do Wiednia, gdzie utworzono, pod zwierzchnictwem hr. Pawła Esterházy, pierwsze ministerium węgierskie spraw zagranicznych. Pulski został sekretarzem Esterházego, który nie podzielał wcale zasad, jakie na swj chorągwi wypisywał wszędzie rok 1848. Minister uchylał się chętnie od kierownictwa ważnemi sprawami: natomiast sekretarz dzierżył ster w swych rękach. Tymczasem w Wiedniu wszczęły się gwałtowne poruszenia uliczne, których padł ofiarą minister wojny Latour. Pomawiano niesłusznie Pulskiego, że sam potajemnie tym ruchem na korzyść Węgier kierował. Porzućwszy więc swe stanowisko, schronił się ucieczką do swego kraju, gdzie przez czas krótki pełnił obowiązki członka rządu tymczasowego. Gdy jednak zbliżał się z wojskiem baron Windischgraetz, śpiesznie porzucił Pulski stolicę i przeniósł się zrazu do Paryża, następnie zaś do Londynu. Dobra jego własne i bogatęj bardzo żony na rzecz skarbu zabrano; wynosiły one z górą półtoręj mili kwadratowej w neogradzkim komitacie. Zamożny dziedzic odradu ujrzał się nad przepaścią nędzy i odtąd pióro stało się źródłem utrzymania całej rodziny: statysta przedzierzgnął się w literata. Pisał więc Pulski artykuły, felietony, szkice literackie i naukowe, nawet i powieści, między innemi „Jakobini w Węgrzech,” dość swego czasu poczytną. Pani Teresa Pulska, kobieta wysoko wykształcona, szczerze przychodziła w pomoc swemu mężowi, zarabiając także swem piórem na chleb powszedni. Prace jej beletrystyczne miały wielką wziętość w Anglii i w Niemczech, choć niemniej poczytnemi były także jej rozprawy naukowe, między innemi: Tales and traditions of Hungary. London 1851 2 tomy (Podania ludu węgierskiego), które niebawem po ukazaniu się w oryginale angielskim, na język niemiecki przełożono. Najwięcej jednak talentu pisarskiego okazała pani Teresa Pulska w szkicach, które dodała do dzieła podróżniczego swego męża, dzieła obejmującego wrażenia z podróży, odbytej wraz z nim i Kossutem („White, red, black“ Lond. 3 t. 1852) po Ameryce. Dzięki tej skrzętniej pracy literackiej, utalentowaniu męża i żony, oraz chciwości, z jaką w Węgrzech czytano wszystko, cokolwiek wychodziło z pod pióra Pulskich, umiała rodzina węgierska śród wygnania nie tylko zadość uczynić potrzebom materialnym, ale żyć nadto dla nauki, dla sztuk pięknych. Z Londynu przenieśli się Pulscy do Włoch, gdzie

w Turynie, we Florencji dom ich był ogniskiem poetów, literatów, artystów. Po r. 1860 rozpoczął Pulski proces z rządem austriackim o wydanie dóbr zabranych żonie na rzecz skarbu. W r. 1865 pomyślnie ukończyła się ta sprawa sądowa: skarb powrócił majątek pani Pulskiej, dawszy jej zarazem pozwolenie wrócenia do kraju. Spragniona, po latach tyłu tęsknoty, rodzinnych kątów, przybyła do Pesztu, wraz ze starszą córką; lecz tam niebawem matka i córka padły ofiarą cholery. Mężowi i ojeu pozwolono tylko na kilka dni przybyć (w październiku 1866 r.) do Węgier, na pogrzeb, poczem znów miało nastąpić rozstanie. Ale ulaskawiony, pozostał już Pulski w stolicy kraju swego, który wkrótce, bo w r. 1867, wszedł znów na tory życia politycznego. I znowu Pulski w tym wskrzeszonym ruchu żywy brał udział. Zaraz po powrocie wybrany został posłem na sejm węgierski. Wraz z Andrássem, Csengerym, Eötvösem i Klapką zaczął silnie popierać program polityczny Deaka i w tym celu, dla skuteczniejszego przeprowadzenia swych zasad, założył dziennik polityczny, pod nazwą „Rok 1848.“ Po pewnym jednak czasie pismo to upadło i główny jego redaktor z widowni życia politycznego ustąpił. Przed kilku laty Pulski został mianowany dyrektorem muzeum narodowego, oraz inspektorem wszelkich zbiorów publicznych w całym Węgrzech. Odtąd wyłącznie oddał się swym nowym obowiązkom i studjom z dziedziny sztuki, od których zaczął w młodych latach swój zawód naukowy.

Godniejszego przedstawiciela archeologii nie mogły znaleźć Węgry; lepszego wyboru nie mógł także uczynić przedostatni kongres, mianując pana Pulskiego prezesem przyszłego w Buda-Peszcie zgromadzenia antropo archeologicznego. Ze wszystkimi główniejszymi krajami Europy i z Ameryką łączą Pulskiego liczne stosunki osobiste; z muzeami starożytności pozostaje w nieustannych stosunkach listownych, a w Węgrzech jest tak popularnym, jak jeszcze niedawno Deak. Wykształcony w swym przedmiocie, w archeologii przedhistorycznej, posiada pan Pulski niezbędną dla prezesa międzynarodowego kongresu przymiot: włada wybornie kilkoma językami nowoczesnymi. Z Anglikami mówi po angielsku akcentem londyńskim, z Włochami jak rodzony Florentczyk, z Francuzami jak Paryżanin, a po niemiecku oczywiście jak macierzystą swą mową.

Po tym może przydługim ustępie, który jednak niezbędnym się nam zdawał dla lepszego poznania gospodarza, wejźmy do jego domu. Dyrektor muzeum, prezes kongresu, mieszka w samym gmachu muzeum narodowego, w salach którego odbywają się posiedzenia przybyłych archeologów. Miejsce nam jest znane—sam gmach muzeum; ale mieszkanie dyrektora? Rozglądamy się po korytarzach rozlicznych, lecz nigdzie żadnego napisu, w zrozumiałym dla nas języku. Ale oto tam na prawo wchodzi kilka osób. Nade drzwiami widać napis „Igazgató.“ Oczywiście musi to być jakiś czysty Madjar, kustosz muzeum, ów pan Igazgató, obok dyrektora mieszkający, tak sobie tłumaczył każdy cudzoziemiec, co po madjarsku nie umiejąc, te twarde brzmienia powtórzył w umyśle.

— Wo wohnt Herr Pulski?—pytamy uprzejmie po niemiecku odzwiernego, żeby błąkanie się naszemu koniec położyć.

— Otóż tu właśnie—odpowiada pytany, wskazując nam drzwi na prawo, gdzie napis Igazgató.

— Ależ tam mieszka pan Igazgató, dodaje nasz towarzysz zniciępliwny, my zaś pragniemy dostać się nareszcie do pana Pulskiego.

Okazało się niebawem z krótkich objaśnień, jakie z odzwiernym wymieniliśmy, że pan Pulski nazywa się zarazem Igazgató, to jest że igazgató znaczy po madjarsku dyrektor.

Któż mógł przypuszczać, że ten wyraz kosmopolityczny „director,“ który z małemi zmianami dźwięków jednostajnie spotykaliśmy od Gibraltaru, aż do morza Białego, tu nagle, w tym zakątku naddunajskim, ukaże się w kształtach miejscowego madjarskiego języka? Niejedyny to zresztą był wypadek, że w błąd nas wprowadzała

nieznajomość mowy węgierskiej, a częściej jeszcze powtarzać się musiały podobne zdarzenia, szczególnie w kole Francuzów, którzy „po niemiecku“ radzić sobie nie umieli. Tymczasem wszędzie spotykasz bez wyjątku tylko napisy madjarskie. Madjaryzowanie posuwało się nawet aż do tego, że przemycano węgierską mowę, wbrew przepisom, do różnych spraw kongresu międzynarodowego.

Ale porzućmy w tej chwili rozpaczliwe nasze co do madjaryzmu uwagi; przywitajmy się raczej z gospodarzem i prośmy, by nas przedstawił swój rodzinie i innym miejscowym gościom, którzy dziś w znaczniejszej niż kiedykolwiek zgromadzili się licznie, ku uczczeniu cudzoziemców. Już obszerne komnaty roją się tłumem zewsząd przybyłych gości. Honory domu, mówiąc tym obcym naszemu językowi zwrotem, czyni panna Polyxena, córka jedyna p. Pulskiego, mająca z ojca niepospolity talent władania kilku językami nowoczesnymi. Brat jej starszy, pan August Pulski, dziś w wieku lat zaledwie trzydziestu, zajmuje już od dość dawna katedrę w uniwersytecie peszteńskim, jest posłem na sejm, członkiem delegacji, oraz referentem bardzo cenionym, w sprawach dotyczących oświaty i sprawiedliwości. Drugi brat kończy właśnie swe studia uniwersyteckie w Lipsku. „Wszystko tu w tym salonie—powiadał nam przyjaciel tego domu—technie nauką i sztuką. Cała rodzina, złożona z ojca, córki i dwóch synów, jest ogniskiem, do którego zbiegają się wszystkie nasze szlachetniejsze dążności. Ztąd także nieraz biorą one swój początek.“

Grono dam w salonie jest dość liczne. Przybyły na kongres żony i córki uczonych archeologów, przybyły także i panie, zajmujące się naukowo archeologią. Jest panna Torma z Siedmiogrodu, która się tyle do uświetnienia wystawy swym zbiorem przyczyniła; jest panna Mestorf, kustoszka muzeum w Kielu. Ale ciekawość naszą wzbudza szczególnie osoba niemłoda, tuszy wspaniałej, może nawet zawspaniałej. — Kto jest ta pani?—pytamy młodego gospodarza.—To „królowa węgierska,“ tak ją u nas powszechnie nazywają, bogata hrabina Hadik-Bárkoczy, opiekunka nauk i sztuk pięknych. Hojną ręką wspiera ona wszystko, cokolwiek technie talentem w dziedzinie nauki ścisłej i sztuki. Sama posiada wykształcenie wysokie i wiele podróżowała. Dziś zna ją kraj cały. Instytucje naukowe wiele jej zawdzięczają. Pozwoli pan, kończył swą odpowiedź młody gospodarz, że go przedstawię?

— Znam nieco strony, z których pan przybywasz — rzekła po przedstawieniu „królowa węgierska.“ — Latem mieszkam w mych dobrach niedaleko Dukli, ale już w pasie granicznym węgierskim.

— I znów—pomyślałem w duchu—od strony Karpat osobistość niezwykła, niepospolita.

Grono męskie było nierównie liczniejsze. Duchowieństwo, dyplomacya, nauka i sztuka, jednym słowem wszystko, cokolwiek Peszt posiada w tych dziedzinach wybitniejszego, zebrało się tłumnie do salonu prezesa kongresu archeologicznego. Kto objąć zdoła okiem te rojne tłumy osób, przesuujących się jak w kaleidoskopie co chwila wśród innych grup i kombinacji? Kto przejrzeć potrafi te przeróżne kółka drobniejsze, które się tu i owdzie, w czterech salonach rozrzucone, potworzyły? Możeby zbyt długo pisać wypadło, żeby choć w rysach pobieżnych odtworzyć całą galerią różnych znakomitości. Pomińmy jednak cudzoziemców sławnych; nie szukajmy w salonie panów Broca, Capellini, Virchowa, Worsae i wielu innych, o których zresztą już poprzednio, z powodu głosu przez nich na konferencyach zabieranego, pobieżna była wzmianka, a poznajmy się raczej z miejscowym żywiołem.

Uderza nas przedewszystkiem w tym licznym zgromadzeniu obecność wysokich dostojników kościoła. Na konferencyach kongresu mogłeś zauważyć, że nie było niemal ani jednego posiedzenia, w którymby nie uczestniczyło kilku duchownych. Liczni księża zapisani byli jako członkowie kongresu; wielu z nich przyjęło udział

w wystawie, przedstawiając swoje własne zbiory; wielu z uwagą pilną śledziło każde słowo, jakie spadało z mównicy kongresowej. Istotnie budującą wydać się mogło to żywe uczestnictwo duchowieństwa w pracy nad przeszłością dziejową człowieka. Widocznie jest tam rozbudzony popęd naukowy, do którego może przykład idzie zgóry. Oto sekretarz kongresu, ksiądz infułat Floryan Romer, kustosz muzeum, zajmuje w uniwersytecie katedrę archeologii i z prawdziwym pożytkiem dla nauki pracuje. Gdziekolwiek się ukazał podczas wycieczek naszych archeologicznych profesor Romer, wszędzie był znanym: znali go po imieniu właścianie, znała szlachta okoliczna; wiedzieli czem się zajmuje i nikt się nie dziwił, jak się to u nas często zdarza, że się zajmował „odgrzebywaniem starych garnków.“ Zkąd tu tak prędko wsiąkły te dążności naukowe, rozbudzone tak niedawno? Oto nasz uprzejmy przewodnik po salonie pana Pulskiego, pan Fraknoy, który nam wiele poświęcił czasu, żeby naszą ciekawość zaspokoić, pan Fraknoy, z powołania historyk, a bibliotekarz muzeum narodowego, jest także księdzem. Wprawdzie nie poświęca się archeologii wykopaliskowej, przeddziejowej, ale zajmuje się badaniem dziejów węgierskich.

— Tam przed oszkloną szafą z przedmiotami sztuki greckiej, powiada nam uprzejmy nasz przewodnik, pan F.—zatrzymał się właśnie, otoczony gronem archeologów, nasz najpopularniejszy praelat w całym Węgrzech, arcybiskup kalocski dr. Haynald.

Wyniosła postawa, czoło wysokie, profil rzymski, wyraz oblicza pełen myśli, sprawiają wrażenie osobistości posągowej. Obok tego rzadka wytworność form towarzyskich świadczy dobrze o świeckich przymiotach wysokiego dostojnika. Na soborze rzymskim należał arcybiskup Haynald do mniejszości w sprawie dogmatu, ale się następnie pogodził z większością. Uchodzi za niepospolitego znawcę łaciny: mówił na soborze wykwiutnym, jak Cyceron, językiem łacińskim. Nieraz widywaliśmy jego ekscelencyą na posiedzeniach kongresu archeologicznego. Również uczęszczał arcybiskup na konferencye statystyczne. Znanym jest ze swych dążności naukowych i ze swego wykształcenia wysokiego. Hojną ręką wspiera oświatę, talenta, sztuki piękne. Już cały szereg szkół założył własnym kosztem. Dnie urodzin sędziwej swjej matki czczył arcybiskup w ten sposób, że składał jej na wiązanie co rok wiadomość o kilku prezesach założonych instytucjach żeńskich, średnich lub wyższych. Może zaś tak hojnie występować, bo dycecezya kalocaska, należąca do najbogatszych w Węgrzech, przynosi rocznego dochodu do 3 milionów zł. p. Wzywany często do dworu, do izby panów, z tytułu swjej godności, przebywa arcybiskup większą część roku w stolicy, gdzie łatwiej znajduje środki załatwienia swym potrzebom umysłowo-artystycznym. Z Lisztem łączą prałata stosunki ścisłej przyjaźni.

Zbliżył się do innego dostojnika, który tam otó dalej żywą rozpoczął rozmowę z kilku panami przybyłymi z Krakowa i Warszawy. Prałat sam, słysząc mowę polską, powitał gości, po słowacku do nich przemówiwszy. Jest to dr. Arnold Ipolyi, biskup dycecezyi bystrzyckiej, którego główną siedzibą jest miasto Neusohl, po węgiersku Besztercze-Bánya, w pierwotnej zaś nazwie słowiańskiej Bystrzyca. Leży ono w kraju górystym podkarpackim, zamieszkałe głównie przez Słowaków. Biskup Ipolyi należy do najświetlejszych mężów swojego kraju; ma własny zbiór archeologiczny, część jego znaczną ofiarował na rzecz muzeum narodowego, a zna dokładnie stan współczesnych badań antropo-archeologicznych. Nie ta jednak gałąź wiedzy jego specjalność stanowi. Jego ekscelencya poświęca się głównie badaniom historycznym, uprawie dziejów własnego kraju. Jest członkiem sekcji historycznej akademii umiejętności w Peszcie. Właśnie przed rokiem ukazał się w liczbie wydawnictw akademii „Zbiór listów (łacińskich) prymasa węg. Mikołaja Olah do Ludwika II króla, z lat 1526—38,“ przygotowany do druku i uporządkowany przez

biskupa Ipolyi. Prosty to materiał historyczny. Poczytniejszą jest inna praca szanownego autora, a mianowicie „Dzieje miasta Bystrzycy,” napisane w języku węgierskim, które ukazały się także w roku przeszłym w przekładzie niemieckim: (Geschichte der Stadt Neusohl, uebersetzt von A. Dux. Wien 1875). Dzieło tozaszczytnie wyróżnia się w szeregu podobnych książek, mieszczących w sobie zwykle suchą kronikę nieznanego pod względem historycznym grodu. Jest-to raczej rys dziejów miasta, przedstawiony na tle całej historii węgierskiej, w szerokich ramach, obraz z dziejów cywilizacji madjarskiej. Z zajęciem prawdziwym czytaliśmy ten rys historyczny, ile że w nim ciągle spotyka się ogólnodziejowe poglądy, które świadczą o niepospolitem odczuciu w dziale historycznym biskupa Ipolyi. Forma wykładu jest nadzwyczaj ujmująca, jak ujmująca jest cała postawa i oblicze dziejopisa miasta Bystrzycy, przypominające nam nadobnością rysów i szlachetnością wyrazu portrety Leona X. Powzięliśmy dla czcigodnego prałata tém większy szacunek, gdy z ust jego słyszeliśmy piękną, poprawną mowę słowacką. „Od pierwszej chwili, powiadał nam ks. biskup, gdy jako proboszcz Madjar do Bystrzycy między Słowian przybyłem, zacząłem się uczyć ich języka i po kilku miesiącach już mówiłem kazania i nauki dla ludu. Nie zdało mi się, abym mógł być dobrym pasterzem, opiekunem, przyjacielem moich parafian, nie znając ich mowy ojczyściej. Los chciał, że wróciłem po kilkunastu latach, jako biskup dyecezyi zamieszkałej głównie przez Słowaków, do tej samej parafii, i znów przypomniałem sobie ową mowę słowacką naszych współobywateli Słowaków.“—Czy wielu jest podobnych w Węgrzech prałatów, nie wiemy. Sądząc jednak z tego, jak się sam rząd madjarski zachowuje względem żywiołu słowackiego przypuszczać można, że ks. biskup Ipolyi stanowi wyjątek tylko w szeregu osobistości wpływowych, a system madjaryzowania, wynarodowiania Słowaków trwa w dawniej swój sile.

Długą i zbyt uciążliwą wypadłoby czytelnikowi przedsiębrać podróż, gdyby za nami chciał podążyć, dla poznania całego towarzystwa świeckiego, które się w salonie prezesa kongresu zebrało. Takie zebranie u pana Pułskiego nie jest przypadkowym. Wieczory sobotnie gromadzą tam wszystko, cokolwiek między Madjarami wyróżnia się stanowiskiem lub talentem. „Prócz prałatów—powiada nam nasz przewodnik pan F.—spotka pan tu co sobota grono dyplomatów. Oto pan Tréfort, minister oświaty, który zagajał posiedzenia kongresu, jest tu stałym gościem; p. Koloman Tisza i baron Wenckheim częstu w tém zgromadzeniu udział biorą. Arystokracja nasza, hrabiowie Sichy, Sennyey, Gyürky, przybyli tu również dziś na przywitanie gości. Akademia i uniwersytet mają tu swoich przedstawicieli; przybyli także z prowincyi liczni deputaci sejmowi. Spotykamy tu często naszego powieściopisarza Jokaya i poetę naszego Jana Arány.“—Któż zdola wśród tego tłumu cudzoziemców i miejscowych członków objąć jednym rzutem oka wszystkie grupy? Widziałeś tylko uprzejmego gospodarza, jak ustawicznie gości wzajemnie zaznajamiał, widziałeś gości, jak między sobą wymieniali bilety wizytowe, a słyszałeś wszystkie niemal mowy europejskie, i sam w tym wirze tonąłeś, razem z falami przepływałeś z jednego salonu do drugiego, stosownie do życzenia, z tym lub owym się znajomiąc.

Zbyt pobieżnym piórem kręśliłiśmy ten obraz zgromadzenia u prezesa kongresu, aby w nim nie pominąć szczegółów wielu. Domyślony czytelnik dopełni sobie w wyobraźni, czego tu brak się okaże. Był „tokaj“ prawdziwy, jak najpiękniejszy bursztyn, który podniecał wesołość, a zużożonym sił dodawał; był inny węgryz, jak twierdził młody pan Pułski, własną jego ręką zebrany i przyprawiony; miałeś na stolach okazy ze świata zwierzęcego i roślinnego, w jakie bogate Węgry obfitują. Kiedy niekiedy słyszałeś wśród różnojęzycznych dźwięków słowa gospodarza lub gospodyni domu: „kérem, kérem“—kiedy się do

którego z gości miejscowych zwracali. Już sobie łatwiej jak z owém *igazgató* poradzić było można. Słyszając ten wyraz po kilka razy do coraz innych osób stosowany, nie przypuszczałeś przecie, aby się w Peszcie wszyscy Węgrzy jednostajnie Kérem nazywali, zwłaszcza, że ci wszyscy znów jednostajnie odpowiadali: „köszönöm, igen köszönöm“ (dziękuję, bardzo dziękuję).

I my także, opuszczając salon prezesa kongresu i żegnając się z naszym przewodnikiem Madjarrem, w rodzinnej do niego przemówiliśmy mowie: słowami dziękczynienia za jego uprzejmość: „köszönöm, igen köszönöm!“

DO POEZJI.

O sztuko święta! promieniu złoty!
Błyszni nad smutnie schyłym czołem!..
Zwiń z niego ślady bólów, tęsknoty,
I w życie odtąd idź ze mną społem!

W chwili nadziei serce złamane
Wzywa cię, święta!.. Skrzydła anioła
Roztocz nademną śnieżne, świetlane,
Może raz drugi rozkwitnąć zdoła...

Świat na niem pieczęć wycisnął swoją,
I od tej chwili ciera je oplata.
Ty je ramiony otocz, jak zbroja,
Ust swych dotknięciem zmaż pieczęć świata...

Czyści być muszą wybrani twoi,
Boś i ty czysta, jak technienie Boże,
A kto pod cieniem twych skrzydeł stoi,
Tego dłoń świata dotknąć nie może...

Przyjm mię pod cień ten, niepokalana!
Niech się odrodzę z siły nowemi;
Niechaj zapomnę, tobie oddana,
O szczęściu ziemi, i bólach ziemi!..

Jadwiga Witkiewiczówna.

PORADNIK

DLA KUPUJĄCYCH KSIĄŻKI I NÓTY MUZYCZNE.

I. Książki.

(Dokończenie).

5. RYS HISTORJI LITERATURY NIEMIECKIEJ do połowy XVIII wieku. Zebrał Antoni J. Szabrański. Warsz., 1876. Cena 1 r. 50 k. Pomimo kilku dzieł tłumaczonych z zakresu historii literatury powszechniej, w których piśmiennictwo pojedynczych narodów przedstawione jest zwykle zakrótko, mało posiadamy dzieł z którychby można zaczerpnąć gruntowniejszą znajomość literatury. Dzieło pana A. J. S., niewątpliwie owoc sumiennych studyów znawcy, daje nam pożądaną obraz dziejów piśmiennictwa niemieckiego, a raczej poezji niemieckiej, od czasów najdawniejszych, aż do połowy XVIII wieku—do epoki największego rozkwitu literatury i działalności Lessinga, Klopstocka, Göthego i Schillera. Ta ostatnia epoka, jako bliższa i ważniejsza, bardziej nas interesuje, i byłoby pożądanem, aby autor zajął się jęj opracowaniem, tak aby niniejsza książka stanowiła pierwszy tom całości. Tymczasem dzieło pana A. J. S., choć pouczające, wygląda jakoś ułamkowo i więcej liczyć może na czytelników pomiędzy uczonymi i specjalistami, niż na rozpowszechnienie w masie czytającej publiczności. Wrzelało autor usiłował treść swego dzieła, niekiedy mało mogać nas obchodzić, przedstawić nietylko wyczerpująco, co mu odnośnie do poezji prawie bezwarunkowo przyznać musimy, ale nawet żywo i ponętnie. Podniętą interesu są także przytoczone próbki oryginalnych staroniemieckich utworów, ciekawe pod względem języka i rytmu; do nich dodane są wszędzie przekłady

polskie, wogólności udatne, a niektóre i poetycznej wartości niepozobawione. Poezyą autor ma głównie na uwadze i szczegółowiej traktuje: tak np. wyczerpujący i udatny ustęp o poezji minezengerów zawiera wiele zupełnie nowych dla naszych czytelników wiadomości. Możeby nawet było właściwiej, gdyby autor swoje dzieło nazwał historją poezji, gdyż o prozaikach mówi niewiele i to przeważnie z zakresu beletrystyki, a piśmiennictwo naukowe prawie zupełnie pomija.

6. WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH GOTFRYDA ERNESTA GRODKA, napisał dr. Zygmunt Węclewski, Kraków, 1876. Cena nienotowana. Grodek był słynnym swojego czasu (1805—1826) profesorem literatury greckiej i łacińskiej w uniwersytecie wileńskim, jednym z pierwszych i najbardziej wpływowych krzewicieli zamilowania i gruntownej znajomości języków starożytnych. Uczniami jego byli: Mickiewicz, Lelewel, Borowski i wielu innych mężów znakomych. Grodek napisał także wiele dzieł i rozpraw uczonych i przyswoił naszemu językowi jedną z najlepszych swego czasu, gramatykę grecką Butmana. Z pochodzenia był Gdańszczaninem, z rodziny niemieckiej; uważał się jednak za Polaka, mówił i pisał po polsku, redagował Gazetę Literacką 1805—6) i był współpracownikiem Dziennika Wileńskiego. Tego to zasłużonego męża pamięć odświeżył swą pracą p. Węclewski. Nie jest-to sucha biografia, ale pełen życia obraz epoki, tyle pod wieloma względami pamiętny, na tle której działał Grodek, połączony stosunkami z najprędniejszymi działaczami owego czasu: ks. Adamem Czartoryskim, Tadeuszem Czackim i t. d. Czytelnik znajdzie tu liczne wyjątki z korespondencji Grodka z tymi i innymi zasłużonymi mężami; w tych listach odzwierciedlają się nietylko stan nauk i oświaty i dzieje humanitarnego wykształcenia na Litwie, ale także charakterzy ludzi i tysiączne okoliczności. Listy do Czartoryskiego, korespondencya z Czackim, a nawet z rodziną, przedstawiają tysiące zajmujących rysów i szczegółów. Tak n. p. z listów rodziny Grodka dowiadujemy się, że w epoce zaboru pruskiego Gdańszczanie, chociaż Niemcy, bynajmniej Prusom nie sprzyjali. Niemniej ciekawą jest historia zajęcia z Euzebiuszem Słowackim i dzieje obsadzenia katedry literatury polskiej. Wogóle książka to bardzo zajmująca, gdyż daje czytelnikowi daleko więcej nad to, co obejmuje jęj tytuł.

7. WŁADZA I UKŁAD PAŃSTWA. *Zarysy polityki i porównawczego prawa konstytucyj*, przez dra I. B. Oczapowskiego. I. Wstęp i część ogólna. Kraków, 1875. Cena rs. 1 k. 65. Prace z dziedziny prawa państwowego i filozofii społecznej czyli politycznej są u nas wielką rzadkością. Niniejsze dzieło, które autor nazwał wstępem do bardziej wyczerpującego podręcznika prawa państwowego, zajmuje się przedewszystkiem ustaleniem i określeniem pojęć o władzy, państwie, rządzie, zakresie praw i obowiązków władzy państwowej i t. d., a następnie przedstawieniem szczegółów państwowych, jakimi być powinny. Autor, o ile sądzić mogliśmy, w znacznej mierze trzyma się Monteskiusza; korzystał także i z innych dzieł w tej gałęzi, przedewszystkiem zaś w części historycznej trzymał się Janet'a, którego dzieło „Histoire de la philosophie politique“ najprzystępniejsze i niemal popularne, dotychczas napróżno oczekuje polskiego tłumacza. Autor usiłuje określić, czém jest państwo samo w sobie, niezależnie od swego celu, który to cel miano zawsze wyłącznie na względzie w większej części dotychczasowych badań. Oto określenie autora: „Państwo stanowi związek trwały i jednolity ludu i rządu, czyli władzców i podwładnych pewnej społeczności narodowej lub wieloplemiennej osiadłej, to jest dzierżącój udziałnie w swém posiadaniu pewien kraj, urządzony jednolicie, jako jestestwo świadome wspólnych założeń, czyli jako jestestwo zdolne do woli i działania zbiorowego i zgodnego, pod osłoną siły zbiorowej.“ Definicja, co prawda, zarozwlekła i niezbyt jasna, a mianowicie niewiadomo czy w niej wyraz *jestestwo* ściąga się do państwa, czy też do kraju. Dalej dowodzi autor moralnego czyli etycznego charakteru państwa

i twierdzi, że siła państwa nigdy niż może (nie powinna?) być brutalną, fizyczną, lecz zależną od mocy moralnej. Według pana Oczapowskiego, nie można nawet zgola w świecie ludzkim (mniemamy że i we wszechświecie) mówić o *sile ślepej*, gdyż zawsze zależy ona od jakiegoś wewnętrznej siły moralnej, to jest że każda siła ludzka jest siłą moralną. Na nazwę zgoda, ale idzie o gatunek tej moralności, która przecież może być i antimoralną. Dyalektycznie, opierając się przeważnie na znaczeniu wyrazów, zbija autor zdanie tych, którzy *siłę* państwa biorą za jedno z *przemocą* i *wszechmocą*; pruską zaś teorią o wszechwładztwie państwa wywodzi z teologicznego pojęcia biblii o wszechmocy Boskiej, pochwyconego przez semitów, żydowsko-liberalnych kulturtregerów. Ustęp to ciekawy, choć autor zapomniał o idei wszechwładztwa państwowego w świecie starożytnym. Dalej walczy autor z błędnym wyobrażeniem tych, którzy *państwem* nazywają samych tylko rządzących i mówi o obowiązkach państwa. Absolutyzm władzy uważa za właściwy ludom romańskim (tylko?). Dowodzi także, iż wszechwładztwo państwa opiera się na mylnym wyobrażeniu o wszechmocy jednostki (indywiduum), mylnym dlatego, że jednostka, jako taka, nie istnieje (?), i wykazuje zgubność przewrotów i tyranie, które w rozmaitych formach rządu ztąd powstawały. Mówi dalej o szrankach władzy państwowej, o rzeczach zgola niezależnych od tej władzy i o jej ograniczeniu prawnym, które nazywa „wspólną, wyrozumowaną wolą podwładnych;” nadto, opierając się znowu na różnicy wyrazów, dowodzi że *panowanie* nie powinno być *opanowaniem* i t. d. Poprzestajemy na tych krótkich przytoczeniach z części wstępnej, które już świadczą, że książka pana O. jest pełną rzeczy ciekawych, dla naszej publiczności czytającej prawie nowych i pouczających, a także iż autorowi nie brak erudycji i dyalektyki. Niektóre filozoficzne i lingwistyczne wywody, prócz tego że wielu twierdzeniom autora w tej gałęzi filozofii praktycznej nadają cechę zbyt abstrakcyjną i apriorystyczną, nadto wydały się nam chwiejnymi, chociaż zdrowy sąd i prawidłowa refleksja przeważają w książce. Tak n. p. na str. 8 wyraz *mość* wyprowadza autor od zaimka *my* i bierze ten wyraz w znaczeniu *majestas*; tymczasem wiadomo, że polskie *mość* jest skróceniem wyrazu *miłość* (w znaczeniu łaskawość), tak że zamiast W. K. Miłość (benignitas vestra) zaczęto w wieku XV mówić W. K. Mość. Styl autora niezawsze bywa jasny i poprawny. Pomimo to wszystko książka jego może przynieść wiele pożytku i pobudzić zamięlowanych w poważnych kwestjach czytelników do samodzielnego zastanawiania się nad przedmiotami, które mało kto się u nas dotychczas zajmował.

II. Nóty.

1. *Sammlung mehrerer gesangreicher und lebhafter Tonstücke für Violine und Pianoforte, v. R. Schaab u. Anderen*, w dziewięciu zeszytach nrów 28. Offenbach, u André. Zeszyty po 1,50 i 1,80 mark.

Jest-to wiązanka nietrudnych, melodyjnych utworów najlepszych kompozytorów, zebranych dla użytku początkujących skrzypków, a ułożonych w łatwy i przystępny sposób. Oprócz innych, spotykamy tu poważne nazwiska, jak Beethoven, Clementi, Händel, Haydn, Mozart, Spohr, dające nam rękojmię, że młodzi skrzypkowie znajdą tu dobre wzory do kształcenia gustu, oraz sposobność obznajmiania się ze znakomitszymi kompozytorami, ku czemu powyższy zbiorek zdaje się być głównie ułożonym.

2. *Die jungen Freunde. Beliebte Melodien für das Pianoforte zu vier Händen*. Louis Köhler. Op. 258. Zeszytów 6, każdy po jednej marce. Offenbach u André.

Znane powszechnie w świecie muzykalnym nazwisko Ludwika Köhlera jest dostateczną rekomendacją powyższego zbioru melodyj najprzystępniej ułożonych na fortepian, przeznaczonych dla młodzieży zupełnie początkującej, a miano-

wicie dla tych, co jeszcze oktawy nie mogą obijać.

3. *Die nothwendigsten und wichtigsten Gruppen der Clavertechnik*. C. H. Döring. Op. 39. Offenbach u André. 3 zeszyty po 1,30 m., razem 3,20 mark. Wyszedł dopiero pierwszy.

Autor tych etiid, profesor konserwatorium lipskiego, ułożył je dla początkujących uczniów, mając na względzie jednakowe rozwijanie lewej i prawej ręki, i dlatego każda etiuda dla prawej, powtarza się na lewą, we właściwym układzie. Pod względem trudności odpowiadają one pierwszemu kajetowi Czernego: „Die Schule der Geläufigkeit,” albo Köhlera „Die ersten Studien.“

4. *Sonatine sur les 5 notes de la gamme*. B. Damcke. Lipsk, u Breitkopfa i Härtla. 4 marki 25 f.

Powyższa sonatina, napisana na 4 ręce, składa się z następujących części: allegro, allegretto, menuet, andante i allegretto con moto. Należy ją raczej uważać za etiudę obleczonej w formę zbliżającą się do sonaty, niż za właściwą sonatinę. Jak sam tytuł wskazuje, cały ruch prawych rąk ogranicza się pięcioma pierwszymi nutami gamy, występującymi w rozmaitym rytmie i na różnych stopniach téjże; drugie ręce zaś wypełniają harmonią, i te, jako o wiele trudniejsze, przeznaczone są dla nauczyciela, mającego akompaniować uczniowi. Pomysł-to dosyć oryginalny, z którego autor, znany muzyk, a głównie teoretyk, wywiązał się szczęśliwie, jakkolwiek nie zdołał uniknąć monotonii, leżącej w samej naturze rzeczy. Pomimo to polecamy ten utwór początkującym, którym przyjemnie będzie po suchych etiudach zagrać dla odmiany kompozycją większego pozornie zakroju, a jednak w rzeczywistości będącą tylko etiudą.

5. *SONATE. (D minor) pour le piano, par Antoine Stolpe*. Warszawa, u Orgelbranda. Cena rs. 1 kop. 50.

Towarzystwo muzyczne wydało w roku bieżącym własnym nakładem kilka utworów krajowych kompozytorów, z liczby których tyle się wyróżnia Sonata Stolpego, iż nietylko że pozostałe utwory pod względem wewnętrznej wartości żadnego z nią porównania wytrzymać nie zdołają, ale nawet w ogóle rzadko bardzo wyjdzie z pod pióra którego z krajowych kompozytorów dzieło, mogące iść w parze z powyższem. Utwór ten, świadczący o znakomitym talencie przedwcześnie zmarłego autora, pomimo nieuchronnego prawie u początkujących kompozytorów, a jednak tu niezbyt częstego, naśladownictwa znakomitych wzorów, ma w sobie tyle bogatych pomysłów, przyobleczonych w niemniej piękną formę, że możemy go usilnie polecić wszystkim dobrze grającym fortepianistom. Sonata powyższa wykonana była publicznie raz tylko jeden przez p. Józefa Wieniawskiego, na wieczorze dwutygodniowym w Towarzystwie muzycznym.

6. *Sonate für Pianoforte*. Wł. Żeleński. Cena 4 marki. Lipsk, u Kahnta.

Znany nietylko naszej publiczności autor przedstawia nam nowe dzieło, które stawiamy na równi z poprzednio wydanem trio na fortepian, skrzypce i wiolonczelę. Wszystkie zalety, cechujące talent pana Żeleńskiego, jak oryginalność i szlachetność pomysłów, umiejętne ich obrobienie, świadczące o jego kompozytorskiej wytrwałości, odbijają się w tej sonacie, którą polecamy biegłym fortepianistom, jako utwór wyróżniający się z pośród wielu innych tego rodzaju.

Książki i nóty powyższe są do nabycia w księgarni **Ungra i Banarskiego** w Warszawie (Krakowskie przedmieście nr 443). Wypisując jednorazowo dzieł za rs 5, kosztów przesyłki nie ponoszą; przy mniejszych zamówieniach zechcą dołączyć kop. 10 do każdego rubla, na koszt przesyłki. Wyłączają się od bezpłatnej przesyłki książki w cenie niższej, szkolne, na prenumeratę wychodzące i kalendarze.

W żadnym państwie praca społeczna kobiet nie dosięgła tak szerokiego rozwoju, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Kobiety zajęły tam niezależne i poważne stanowisko w naukach, sztukach, umiejętnościach, w rzemiosłach, przemysle i na wszelkich drogach wiedzy.

Stara Anglia, wobec tych postępów młodej swjej córy, przetarła oczy—Angielki zapragnęły dorównać Amerykankom. I w ciągu kilku dziesiątków lat zajęły one postępniki, dotąd dla ich płci nieprzystępne. Dziś w połączonych trzech królestwach Wielkiej Brytanii redagują one dzienniki, zarządzają zakładami fabrycznymi i pełnią obowiązki telegrafistek na kolejach żelaznych. Wyuczyły się zecerstwa, introligatorstwa i wielu rzemiosł, słowem rozprzestrzeńczyły szeroko zakres swjej pracy, która przez długie wieki ograniczała się na zajęciach domowych i wychowaniu dzieci. Nie poprzestając na tych drogach, Angielki sięgnęły wyżej, po dyplomy lekarskie—zapragnęły nieść pomoc cierpiącej ludzkości, poczytując to powołanie za odpowiednie swjej płci i wskazywane potrzebą czasu.

Przed szesnastu laty przejawiał się pierwszy ruch na tém polu; wszelako ruch ten napotkał tak silne przeszkody, że pomimo całej wytrwałości, jakiej tu złożył dowody świat niewieści, nie zdołał przecież dotąd przełamać stanowczo uprzedzeń rutyny i panujących a zastarzałych przesądów. Kobiety w Anglii, zwłaszcza w ciągu ostatnich lat siedmiu, musiały staczać ciężką i nużącą walkę z przywilejami uzurpatorskimi drugiej połowy rodu ludzkiego, a fazy tej walki tak są ciekawe, że ze wszech miar zasługują na bliższe w nich rozpatrzenie się.

Oddawna już dawała się uczuć potrzeba zastąpienia, w chorobach niewieści, uczniów Eskulapa uczenicami; sama identyczność płci doradzała tego rodzaju reformę. Pomimo to dziś jeszcze w ucywilizowanej Europie po staremu ułoża kobiet staje medyk, i w wielu razach wstydlivość niewieścia zmuszoną jest z rezygnacją poddawać się analizie lekarskiej. Potrzeba odzyskania zdrowia zniwala do tego rodzaju kapitulacji. Ileżby jednak zyskały chore, gdyby procedurą medyczną w tych razach zajmowały się lekarki.

Bądź co bądź, w Anglii poważne umysły zaprzatają się obecnie potrzebą tej reformy; jest ona dziś na porządku dziennym, co już jej przyszość jasną zdaje się zapowiadać. I Francya zapewne pójdzie tą drogą; upoważnia nas do tego wniosku doktoryzająca pani Brès, która w roku ubiegłym pozyskała dyplom lekarski. Wróćmy jednak do Anglii.

Prawo ustanawiające warunki, pod jakimi wolno jest tam odbywać praktykę lekarską, datuje się od 1858 roku. Wyznacza ono w trzech połączonych królestwach Wielkiej Brytanii dziewiętnastu przysięgłych egzaminatorów, udzielających stopnie lekarskie, nie okręśla przecież bliżej warunków w udzielaniu tychże stopni, a z obawy aby ciało medyczne nie przekraczało swych atrybucyj w odrzucaniu lub przyjmowaniu kandydatów, pozwała tym ostatnim apelować do rady lekarskiej, która ma prawo nakazywać profesorom egzaminowanie kandydatów. Na nieszczęście akt prawodawczy z 1858 roku nie orzeka, czy każdy kandydat ma być przypuszczanym do egzaminu, z czego wyniknęły następnie nieprzewidziane powikłania.

W 1860 r. pierwszy raz kobieta wystąpiła z żądaniem o pozwolenie jej uczęszczania na kursa medycyny, podanie jej wszelako odrzuciły wszystkie szkoły do których się zwracała. Niezrażona tém, odniosła się do *Company of apothecaries*, to jest towarzystwa farmaceutów, w zakładach którego wykładana jest nietylko farmakologia, ale i medycyna. Wspomniane Towarzystwo zezwoliło na przyjęcie tej kandydatki, pod tym wszakże warunkiem, że uczyć się nie będzie na kursa publicznej, lecz tylko słuchać wykładu nauki u profesorów zatwierdzonych przez Towarzystwo. Wskutek tej uchwały suplikantka musiała po-

nieść daleko większe koszta, niż inni uczniowie medycyny. Pomimo to wszakże, po upływie pięciu lat, zdała doskonale egzamin i uzyskała pozwolenie na praktykę farmaceutyczną, co nie wylęczało i lekarskiej. Towarzystwo jednak, lękając się nowego naruszenia prawa, postanowiło zabronić profesorom publicznym wykładów prywatnych. Podwoje zatem wiedzy medycznej nagle zawarte zostały dla kobiet, wskutek powyższego postanowienia.

Upłynęło lat kilka, i dopiero w 1869 roku jakaś Angielka podała prośbę do uniwersytetu w Edyburgu, o przyjęcie jej jako uczennicy do szkoły medycznej. Wydział lekarski i senat przychyliły się do jej żądania, lecz rada uniwersytecka, wskutek silnej opozycji kilku profesorów, odrzuciła prośbę, powołując się na ten wzgląd, że władza szkolna dla jednej kandydatki nie może czynić wyjątku. Lichy ten wybieg nie przyniósł z pewnością uniwersytetowi ani zaszczytu, ani zabezpieczenia. Kobiety stowarzyszyły się i bezzwłocznie sześć z nich podało jednocześnie prośby o przyjęcie ich do szkoły medycznej, zapytując zarazem lorda rektora, czy w razie gdy poniosą wszelkie wymagane koszta, kształcąc się w klasach oddzielnych, będą mogły być wpisane do matrykuł, odpowiednio do istniejących przepisów, i dopuszczone do złożenia egzaminu, dla pozyskania stopni naukowych?

Po sześciomiesięcznych dyskusjach i sporach, rada uniwersytecka, pomimo protestu kilku członków, przychyliła się do wspomnianych podań, poleciła wpisać do matrykuł sześć kobiet, jak praktykowało się z innymi uczniami, i wydać im karty wpisowe, uznające suplikantki za *cives academice Edinensis*.

Jednocześnie rada uniwersytecka wydała następujące rozporządzenia, zatwierdzone przez kanclerza, naczelnika wydziału sprawiedliwości w Szkocji.

1. Kobiety mają być przypuszczane do słuchania w uniwersytecie kursu medycyny.

2. Nauka ma im być wykładana w klasach oddzielnych.

3. Profesorowie wydziału medycznego zostają upoważnieni do utworzenia klas żeńskich.

4. Kobiety, niemające zamiaru poświęcenia się zawodowi lekarskiemu, mogą jednak uczyć się na kursa wykładane w klasach żeńskich, za pozyskaniem na to zezwolenia władzy uniwersyteckiej.

5. Opłatę roczną dla nich ustanawia się w wysokości czterech gwinei. Gdyby jednak liczba uczennic nie zapewniała profesorom odpowiedniego wynagrodzenia, ci mogą poczynić inne układy z uczennicami, lecz w każdym razie podwyższenie opłaty zależeć będzie od zatwierdzenia rady uniwersyteckiej.

6. Kobiety, uczęszczające do klas, muszą stosować się do przepisów uniwersyteckich, obowiązujących uczniów płci męskiej, a mianowicie odnoszących się do wpisu, uczęszczania do szkoły, egzaminów i t. p.

7. Rozporządzenia powyższe zaczynają obowiązywać z początkiem roku szkolnego 1869-70.

Mogłoby zdawać się z pozoru, że rozporządzenie to usuwało wszystkie trudności, że zawód lekarski dla kobiet został od tej chwili otwartym. I w rzeczy samej w pierwszym roku liczba uczennic wzrastała, postępy ich w naukach dziwiły profesorów i egzamina poszły wybornie. Wszelako zwyciężyć zastarzały, odwieczny monopol nie jest zadaniem tak łatwym. Z przyjaznych im profesorów jednych śmierć zabrała, drugich przeniesiono do innych wszechnic, z czego korzystając, stronnictwo wsteczne zaczęło w dziennikach medycznie poświęconych powstawać na tę innowację i na profesorów otwierających klasy żeńskie. Ponieważ coraz większa liczba kobiet żądała pomieszczenia na liście uczennic medycyny, wydział uniwersytecki odrzucił ich prośby, a rada, aczkolwiek jej poprzednia decyzja była sankcjonowana przez lorda wydziału sprawiedliwości w Szkocji i zatwierdzona przez juryskonsulta korony, oświadczyła, że nie może poczytywać tych uchwał

za obowiązkowe, a to z powodu braku przepisu prawnego.

Pozostała zatem kobietom jedna tylko droga, to jest poddanie kwestyi pod sąd trybunałów. Niezwłocznie też wystąpiły przed kratki sądowe. Nastąpiło to w początku 1872 roku, w którym sprawę wniesiono pod rozsądzenie *Lord Ordinary*, to jest przed trybunał pierwszej instancji.

Jury Giffort wydała w tej sprawie wyrok następujący:

„Zważywszy że rozporządzenie wydane przez Radę uniwersytetu edyburgskiego pod dniem 10 listopada 1869 r. i zatwierdzone przez kanclerza rzeczono uniwersytetu pod dniem 12 listopada, stanowi do chwili wydania nowego rozporządzenia część ustawy uniwersyteckiej, powódki mają prawo wpisu, pod warunkami oznaczonymi w rzeczonym rozporządzeniu.“

W aneksie do wyroku znajdujemy następującą notę.

Lord Ordinary etc.

„Z prawa wpisu wypływa prawo udzielania stopni. Nauka, wykładana w klasach oddzielnych, może przedstawiać pewne trudności w szczegółach, wszelako winny one być przewidziane i usunięte przez władzę uniwersytecką. Prawo udzielania stopni nie może być tu kwestyą sporną.“

„Gdyby kobiety uczyły się tylko jako amatorki, prawdopodobnie nie stawiano by im trudności w nauce; wszelako oświadczają one, że korzystając chęć z nauki, w celu otrzymania stopni i zezwolenia na praktykę lekarską.“

„Ztąd wypływa zazdrość, którą *Lord Ordinary* zniewolony jest zaliczyć do uczuć wcale nie zaszczytnych.“

Rada uniwersytecka w Edyburgu nie poprzestała wszakże na tym wyroku. W Anglii wszelkie prawo pisane, przed jego ogłoszeniem, ulega skrupulatnemu rozbirowi.

Rada uniwersytecka oddała zatem tę sprawę trybunałowi cywilnemu, w miesiącu czerwcu 1873 roku. Wywiązały się tu długie spory. Z trzynastu sędziów kanclerz uniwersytetu usunął się od rozpraw i głosowania, a z pozostałych dwunastu, pięciu tylko zgadzało się na wyrok *Lord Ordinary*. Wywody wstępne wyroku były dla kobiet bardzo przychylnie.

Wydział medyczny zeszłej strony zaznaczał, że przyjmowanie kobiet do uniwersytetu nie narusza bynajmniej jego rozporządzeń, lecz ustawę, a tym samym że wydanie nowego rozporządzenia nie może kwestyi rozstrzygnąć. Trybunał to uznawał, lecz zarazem występował przeciw ustawie uniwersyteckiej, jako wadliwej, i w końcu wyraził się w tych słowach:

„Analogie, pozyskane z praktyki na lądzie stałym, nie nadają naszym wnioskom siły, lecz niezaprzeczenie osłabiają tę ideę, że według zwyczajów akademickich, istniejących w Europie, kobiety nie mają prawa otrzymywania stopni akademickich. Przeciwnie, uniwersytety kontynentu przyznają zdolności płci słabszej i przypuszczają ją do zaszczytów naukowych. Trybunał nie utrzymuje bynajmniej, aby stopnie i dyplomy były niedostępnymi dla kobiet i sądzi, że władze uniwersyteckie powinny zgodnie tę sprawę załatwić.“

Wszystkie te trudności i zawady nie złamały wytrwałości Angielek; postanowiły one walczyć do ostatka i skruszyć przesąd, a piękny cel do którego dążyły zachęcał je i sił im dodawał. Pozostawało im apelować do *Izby lordów*, tej najwyższej władzy sądowej w Anglii, która mogła ostatecznie rozstrzygnąć tę kwestyę, czy rozporządzenie wydane w listopadzie 1869 r. przez Radę uniwersytecką w Edyburgu były wykonanymi. Wszelako koszta procesu są w Anglii tak ogromne, a nadto wskutek przegrania sprawy w trybunale suplikantki poniosły tak znaczne wydatki, że o nowych, a zwłaszcza tak kosztownych, niepodobna było nawet marzyć.

W takim stanie rzeczy przyszłe adeptki Eskulapa postanowiły odnieść się jeszcze do Izby gmin. Ponieważ akt z 1858 roku nie był dotąd dostatecznie wyjaśnionym, wypadało żądać od samego prawodawstwa uzupełnienia tego aktu. Wszelako nawet na gruncie prawodawczym po-

stępowano w tej kwestyi manowcami. Na posiedzeniu w 1874 roku przygotowany był bil przez pp. Cowper - Temple'a, Russel-Gurney'a, Orr-Ewing'a i doktora Cameron'a, członków parlamentu, dążący do „uchylenia wątpliwości w kwestyi: czy uniwersytet edyburgski miał władzę pozwalania kobietom wpisywania się na listę uczennic i udzielania im stopni.“

Dwie noty przychylnie temu bilowi złożone zostały pierwszemu ministrowi; z tych jedną podpisał dwudziestu sześciu profesorów z uniwersytetów szkockich, drugą ośmiu profesorów szkoły pozamiejskiej medycznej edyburgskiej. W notach tych profesorowie składali świadectwa, dowodzące zdolności i postępu w naukach kobiet, pod ich kierunkiem nauczycielskim zostających. Jednocześnie Rada municypalna Edyburga złożyła parlamentowi petycję, z żądaniem zatwierdzenia bilu w sposób przychylny sprawie kobiet. W tymże samym duchu nadesłano Izbie sześćdziesiąt pięć petycyj, z rozmaitych stron kraju. Z tych jedna, pochodząca z Edyburga, opatrzoną była czterema tysiącami podpisów, druga zaś, podpisana przez armię, że tak się wyrażę, 16,000 kobiet, żądała, aby w interesie dobra ogólnego dozwolonym było płci niewieściej kształcić się w zawodzie lekarskim.

Cyfry te były zbyt wymowne, aby prawodawstwo mogło je lekceważyć. W jednej z not podanych przez profesorów mieściły się uwagi następujące:

„Podpisani podzielają najzupełniej uczucia ogólnu co do rażącej niesprawiedliwości, jakiej doznają kobiety,—podzielają te uczucia tém więcej, że w skutek wyroków sądowych zawód lekarski jest kobietom wzbroniony w połączonych królestwach. Podpisani prócz tego wyrażają żal osobisty, a to z tego względu, że uniwersytety szkockie, do których należą, nie są rzeczywistymi uniwersytetami, gdyż korzysta z ich światła wyłącznie tylko jedna połowa narodu, dla drugiej zaś połowy zawarte są podwoje wiedzy, i to w chwili, w której wykształcenie kobiet tak ważnym jest zadaniem. Podpisani sądzą, że kwestya kształcenia kobiet w nauce lekarskiej powinna być rozwiązana po za obrębem uniwersytetu. Zachodzi tu jeszcze druga kwestya, ogólniejsza i więcej nagląca, a mianowicie ta, czy uniwersytet jest instytucją nieruchomą, czy też, przeciwnie, jego obowiązkiem i głównym zadaniem jest, jak to sama jego nazwa wskazuje, zadość czynić wszelkim potrzebom czasu, w miarę wytwarzania się tych potrzeb.“

Notę powyższą podpisało czternastu profesorów z dwóch uniwersytetów, edyburgskiego i Saint-André.

Cowper-Temple popierał bil gorąco i z niepopolitym talentem. Izba przyjęła go przychylnie, a drugie jego odczytanie naznaczono na 24 kwietnia. Wszelako, na żądanie uniwersytetu, chcącego głębiej zbadać tę sprawę, drugie posiedzenie odłożono do dnia 3 marca 1875 roku, w którym powtórnie sprawa ta wprowadzoną została. Owóż upłynął rok i stronnictwo liberalne utraciło już w Izbie wiele sił, na które liczyć mogło. Z tego też względu po rozprawach, w których Cowper-Temple żywy przyjmował udział, bil odrzuconym został większością 194 głosów, przeciw 151. Prawo zatem nateraz usuwa kobiety z uniwersytetów szkockich.

Na tym punkcie sprawa lekarek w Anglii do dziś dnia pozostaje. Nie należy ztąd jednak wnioskować, aby stanowczo już została rozwiązana. Kwestye społeczne dojrzewają w Anglii wprawdzie powolnie, ale natomiast dojrzewanie ich jest pewniejszym. Przypuszczenie kobiet do zaszczytów i praw uniwersyteckich stanowi część tego szerokiego programu liberalnych, którego większa część przeszła już do prawodawstwa w ciągu lat 1869—1874, a pozostająca reszta pozyska obywatelstwo, gdy znajdzie dość silne poparcie w opinii publicznej. Ona to w Anglii stanowi prawa i na nią liczyć można.

Obecny stan sprawy lekarek w Anglii przedstawia się następująco.

W Edyburgu istnieje szkoła pozamiejska

medyczna dla kobiet, pozwalająca im uczęszczać do klinik szpitalnych. W Londynie wielka szkoła dla kobiet, niezatwierdzona przez rząd, której uczniom wstęp do szpitali jest zatamowanym. Tu zachodzi największe powikłanie, gdyż rozporządzenie wydziału lekarskiego wymaga, aby uczennice uczęszczały do szpitali, posiadających przynajmniej sto łóżek, a tymczasem wszystkie szpitale londyńskie oddane są uczniom medycyny.

W *Company of apothecaries* zabronione są profesorom wykłady oddzielne, a prawo ze swęj strony nie pozwala tworzyć klas mieszanych. Uniwersytet który wydał rozporządzenie przyjmowania kobiet na kursa medycyny, nie poczytał później tego rozporządzenia za obowiązujące. Z drugiej strony wydziały medyczne wręcz wzbraniają kobietom zapisywać się na kursa, gdy tymczasem prawodawstwo uważa wpis do tych wydziałów za konieczny dla pozyskania stopnia. Pomimo tego prawo nigdzie nie orzeka wyraźnie, że kobiety nie mogą oddawać się praktyce lekarskiej.

Tak zagmatwane położenie sprawy wywołać musi, pod naciskiem opinii publicznej, wdranie się parlamentu. Pomimo tylu i tak silnych przeszkód, kobiety ostatecznie pozyskują prawo kształcenia się w naukach uniwersyteckich w ogólności.

Od najdawniejszych czasów w krajach barbarzyńskich, w których medycyna była czysto empiryczną, ograniczającą się do użytkowania ziół i zadawania uroków, kobiety zajmowały się leczeniem. Wszelako już wówczas nie dozwolano im praktyki. W Grecji sztuce medycznej oddawano się przy świątyni Eskulapa. Według Herodota, chorzy zasiadali na stopniach świątyni, błagając przechodniów o pomoc i radę i rozpytujac ich, czy przebywali te same choroby i jakim środkiem winni byli swe uzdrowienie.

Kapłani, przysłuchujący się codziennie tym pytaniom i odpowiedziom, poznajomili się tém samym z symptomatami chorób i spisywali środki lecznicze, które utworzyły z czasem kodeks formuł.

Daléj wtajemniczali w swą sztukę empiryczną swych następców, i tym sposobem medycyna stała się przywilejem pewnych rodzin. Praktyka medyczna zatem, łącząc się z kultem Eskulapa, bożka należącego do rodu męzkiego, przeszła wyłącznie u Greków w ręce męzczyzn. Owóż ponieważ Grecy byli lekarzami Rzymian, a ci znowu lekarzami naszych praocjów, tradycja ich zatem przeszła i na nas.

Zresztą obyczaje, panujące w całym okresie czasu od odrodzenia się państwa rzymskiego przez chrystyanizm, aż do rewolucyi francuzkiej, nie dozwalały kobietom wstępu do zawodów publicznych, a tém mniej do nauki, osłoniętej symboliką lacińską. Bezwątpienia medycyna jest nauką wielce złożoną, wymagającą poznania wielu innych umiejętności i wkraczającą w dziedzinę geniuszu, który męzczyźni poczytują za swój wyłączny przywilej. Z drugiej wszakże strony medycyna w zastosowaniu wymaga taktu, czułości serca i poświęcenia, które są znów w przeważnym stosunku przymiotami kobiet. Nietylko lekarstwami pokonywa się chorobę, ale nadto i potęgą moralną, którą kobieta posiada w wysokim stopniu. Jeżeli chodzić nam będzie o praktykę chirurgiczną, przypatrzmy się rękóm mistrzów w téj sztuce: są to ręce niewieście, pod względem zwinności i zręczności. Powiadają że ci mistrze mają nerwy nieczule, że nie zadrży im ręka przy wykonywaniu najtrudniejszych operacyj. Ale spytajcie tych chirurgów, a pewno ani jeden nie powie wam, aby ból chorego nie wywierał nań żadnego wpływu. Owóż i w téj mierze męzczyźni nie przewyższają kobiet. Zresztą lekarki amerykańskie najjaśnieńj udowadniają, że względy usuwające kobiety od nauki medycznej wiece są słabe. Sprawozdania p. Hippeau okazują nadto, że Amerykanki, poświęcające się zawodowi lekarskiemu, dorównują zdolnościami najznakomitszym lekarzom Stanów Zjednoczonych.

Wreszcie samo prawo natury wypowiada nam ostatecznie słowo w téj sprawie. Jeżeli w społeczeń-

stwie istnienie lekarek nie odpowiada jego istotnej potrzebie, w takim razie nie ostoją się one i znikną. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że w naszych czasach wprowadzenie niewiast do wydziału medycznego jest pożądanem, skoro szesnaście tysięcy kobiet podpisało petycją, złożoną parlamentowi angielskiemu. Jeżeli kobiety żądają aby je leczył lekarz do ich płci należący, to nikt nie ma prawa opierać się temu słusznemu żądaniu.

„Nie mogę zgodzić się na to, powiada Stuart Mill, aby jedna cząstka ludzkości, lub jedno indywiduum oceniać miało co jest stosownem lub niestosownem dla drugiej cząstki ludzkości, lub dla drugiego indywiduum.“

Miejmy zatem cierpliwość: kobiety w Anglii bronią dobrej sprawy, a wygranie jęj stanowcze jest nie czém innem, tylko „kwestya czasu.“

W. N.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

Pan Krzysztof wyszedł od sędziego z ówiekiem w głowie. Sprawa wydała się mu zagmatwaną, ale... zatrzymał się na ulicy, oczy podniósł do góry, palcem się o czoło uderzył, pomyślał przez chwilę i głową wstrząsnął, jak człowiek odnajdujący klucz zagadki.

W téj samej prawie chwili, w której pan Krzysztof zagadkę rozwiązywał, Kaźmirz miał zajście innego rodzaju.

Bohater nasz, w przeświadczeniu iż nie bratu nie pomoże, nie myślał kolatać do władz. Nie potrafił atoli powściągnąć się nie od przedsiębrania kroków oficjalnych, ale od czynienia czegoś, coby choć trochę zadowalało sumienie jego. Parło go, pchało coś. Nie mógł w stancyi wytrzymać. Po odejściu pana Krzysztofa z Franiem, wyszedł i on i machinalnie skierował kroki swoje do mieszkania Józefa. Na wstępie doszedł uszów jego stukot młotków w warstacie i była chwilką, w której doznał uniesienia radości, wydało mu się bowiem że stukot ten oznacza obecność Józefa, że zatem kradzież, rewizya, aresztowanie nie są czém innem, jak tylko złudzeniem zmysłów, snem na jawie. Przyspieszył kroku. Mignęła mu przed oczami postać niewieścia, na którą on nie zważał weale. Wpadł do warstatu i zastał tam czeladników kujących kotły. Ci powitali go zwykłym pozdrowieniem, po którym wymówili wyraz:

— Nieszczęście....

Kaźmirz nie śmiał ich zapytywać. Zapytywał jednak wyrazem oczu swoich, a oni odpowiadali, rozwijając temat jeden, streszczający się w sposób następujący:

— Stało się łotrostwo jakies.

Było ich dwóch. Jeden i drugi ani przypuszczali, żeby Józef miał być sprawcą, nietylko już kradzieży, lub przechowania przedmiotu skradzionego, ale najprostszego nawet uchybienia.

— Józef!.. Józef!.. — wykrzykiwali naprzemian to jeden to drugi. — Józef? a toć świat przewróciłby się do góry nogami, gdyby on co złego miał choćby pomysleć.

Odgrzali się i powiadali, że będą warstatu pilnowali w tém przekonaniu, iż prawda jak oliwa na wierzch wyjdzie, a sprawca rzeczywisty ziemię zgryzie.

Kaźmirz podał czeladnikom pocziwym dłoń do uściśnienia i udał się do izby téj samej, w której poznaliśmy go po raz pierwszy. Izba wyglądała zwyczajnie, miała jednak dla bohatera naszego pozór smutny, taki niemal, jaki przybiera wszelkie mieszkanie ludzkie, po wyniesieniu z niego mieszkańca na miejsce wiecznego spoczynku. Powiódł okiem po sprzętach i uczył w pier-

siach ściśnienie niewymowne. Ściśnienia podobnego doznaje się na widok ruiny czegoś, co drogiem sercu było.

Owo coś była to dobra sława, której ceny Kaźmirz nie znał, aż gdy zagrożoną została. Nagle przedstawiła się mu ona jako skarb — poznany i wnet utracony — utracony tak dla niego, jak dla Józefa. To ostatnie zabolalo go mocno. Uznawał siebie przyczyną nieszczęścia, jakie spotkało brata, i wyobrażał sobie Józefa znękanego moralnie. Kombinować, domyslać się, przypuszczenia jakoweś czynić, nie zdołał jeszcze. Wypadek zdarzył się zbyt nagle i niespodziewanie i ogłuszył go prawie, tak że nie umiał sobie z niego jasnej zdać sprawy. Czuł tylko niby ciężar jakiś nieznośny, który go gniótł, do ziemi przybijał i upokarzał. Być wplątany w sprawę taką obrzydliwą! Być powodem nieszczęścia brata! Kaźmirz czuł się niewinnym. Cóż z tego? W tym razie wina przedstawiała się jako rzecz podrzędna, ustępując miejsca piętnu na czole, jakie wyściska proces o kradzież. Ludzie w razach podobnych o winę, o wyroki sądowe nie pytają.

— Był — mówią — sądzony o złodziejstwo.

Mówienie podobne jest zabijające, dla ludzi zwłaszcza biędnych i prawych.

Kaźmirz odczuwał to w głębi duszy swojej, usiadł na stolku, przy stoliku, nad którym dziecinne, pod okiem braterskim, spędził lata, lokciem się podparł, na dłoń czoło złożył i wpadł w jedną z tych zadum głębokich, które są jakby otchłań bezdenna i bezmyślna. Nie myślał o niczem, pomimo że myślał pracować, nie słyszał nic, pomimo że słuch miał otwarty, nie widział nic, pomimo że wzrok utkwził przed siebie.

Nie słyszał, jak drzwi się otworzyły, i nie widział jak przez takowe weszła dziewczyna młoda. Prawda że weszła po ciechu, wkradła się raczej i drzwi za sobą zamknęła, ale stanęła przed nim, jakby zwrócić na siebie chciała uwagę jego. Pomimo to on jęj nie widział. Ona chrząknęła — nie słyszał. Ona na niego patrzyła — nie czuł na sobie jęj wzroku, pełnego potęgi magnetycznej. Ona stała — on siedział. Rzeklbyś dwa posągi, nieruchome i nieme. Tak upłynęło chwil kilka. Aż dziewczyna rękę podniosła, wyciągnęła, dotknęła się go końcami palców i ledwo słyszalnym głosem rzekła:

— Cierpisz?

— Ha! — rzucił się Kaźmirz.

Pełnym zdumienia wzrokiem w oczy dziewczynie spojrzął i zapytał:

— To ty, Ruchla?

— Ny, ja sama. Ja przyszłam... ja przyszłam, bo mnie tak coś... czegoś... żal się was zrobiło.

— Tobie żal mnie? — rzekł Kaźmirz tonem zdziwienia smutnego, dosłyszawszy w mowie dziewczyny akcentu sympatycznego.

— Czemuzby nie?

— Wszakże ty — podchwycił młodzieniec, nie wiedząc co ma powiedzieć — wszakże ty córka Nuchima?

— Ny, taj co! To dlatego ma mi nie być was żal?

— Nie... ale... — bąkał Kaźmirz — nie to... jednakże...

— Gdyby mi was żal nie było, tobym nie przyszła.

— Dziękuję ci, Ruchlo.

— Ny, to dobrze — podchwyciło dziewięc. — Jabym chciała, jabym bardzo chciała... wziąć was za rękę i wyprowadzić.

— Zkąd?... dokąd? — zapytał Kaźmirz, uderzony coraz to rzewniejszym tonem jęj mowy.

— Zkąd?.. z pośród ludzi. Dokąd? ny, albo ja wiem! Ja Żydówka, a to co ja wiem wypowiedzieć się nie da. Ale...

Tu tak się z nią stało, jakby jęj nagle tchu w piersi zabrakło do wypowiedzenia tego, co na sercu miała. Piersi jęj to się podnosiła, to opadała. Ruszała ustami, jakby wypowiadała tajemnicę jakąś, której nie chciała, ażeby jęj własne słyszały uszy.

Kaźmirz patrzył jęj w oczy.

Dziewczyna, w sposób niemy, spowiadała się przed nim.

Zły jednakże był z bohatera naszego spowiednik. Nie rozumiał nic a nic, pomimo że pozostawał pod wpływem magnetycznym czarnych oczu, i to tak długo, póki siedział. Wstał i czar zniknął. Obecność Ruchli przedstawiła się mu, jako natręctwo niewczesne. „Czego ona chce?” — zapytał siebie.

— Czy masz jaki do mnie interes? — zwrócił się do Ruchli z zapytaniem.

Dziwczę oprzytomniało. Drgnęło lekko, coś odpowiedzieć chciało, gdy wtém wrzawa kłótni głośniejszej, przez drzwi dochodząca, mowę jej odjęła. Skoczyła do alkierza, z alkierza do sieni i znikła.

Wrzawa zwróciła na siebie uwagę Kaźmirza. Tworzyła ona chór mętny, w którym prym trzymał głos męzki ochrzypły, wymawiający poprawnie wyrazy mowy polskiej. Reszta głosów, męzkich i niewieścich, dojrzałych i dziewiczych, szepeliła i zacięła z żydowska, formując harmider wielki. W harmidrze tym wyrazów oddzielnych rozróżnić i zrozumieć nie było można, te zaś które ułamkowo w słuch wpadały, należały do słownika obelg, jakimi wzajemnie traktowali się jeden chrześcijanin i kupa Żydów. Wśród wrzawy nastąpiła bójka, drzwi od przeciwniejszej izby rozwarły się z hałasem, sieni napelił trzepot połączony z piskami i wnet ucichło, tylko z przed domu dochodziły wyrazy następujące:

— Poczekaj-że, psiawiaro, poczekaj! Zginę ja, ale zginiesz i ty!... Pijawko! gadzino!.. nauczę ja ciebie!... Chciałeś ty oszukać mnie... oszukam ja ciebie! Z tymi Żydami do końca dojść nie sposób!... Trafie ja do ciebie!... O!...

Z ulicy rękę podnosił i pięścią groził.

Kaźmirz, hałasem do okna ściągnięty, wyjrzał przez takowe i ujrzał postać sobie nieobcą, której atoli poznać nie mógł, pomimo że się jej pilnie przypatrywał. Zbięrał wspomnienia, lecz te mu niewiele pomagały. Pewnym był tylko, że nie po raz pierwszy w życiu ogląda obdartusa, którego powierzchowność była żywym obrazem nędzy i występku. Nie nader zresztą usposobionym był do czynienia wysiłków pamięciowych. Obdartus nie obchodził go, jak również nie obchodziło go zajście w szynku Nuchima. Nie przywiązywał do tego wagi najmniejszej. Zastanowiło go jednak nieco, że obdartus ów, ujrawszy go w oknie, głową ku niemu przyjaźnie skinął. Pojawiła się policja, ściągnięta hałasem i poczynając się gromadzić zbiegowiskiem ludzi. Obdartus znikł. Kaźmirz opuścił pomieszknię brata.

Zdarzenie to, takie drobne i pospolite napozór, nie było ani drobnym, ani pospolitym w odniesieniu do powieści naszój. Obdartusem owym był nie kto inny, tylko Onufry Trznadel, złodziej z powołania, wychowania i rzemiosła, z którym spotykaliśmy się razy parę w ciągu opowiadania niniejszego. Awantura jaką zrobił tyczyła się Nuchima, powód zaś onój odnosił się do targu jakiegoś tajemniczego, w którym Trznadel oszukany się być mienił, i to bardzo grubo, na tyśiące, o które się upominał, czemu Nuchim wręcz zaprzeczył. A nie tylko zaprzeczył, ale się jeszcze i znajomości złodzieja w żywe oczy zaparł.

— Co? a ty zkąd? ty co za jeden?

— No, ja ten, wiesz przecie? przyniosłem ci tamtego wieczora...

— Ja ciebie nigdy w życiu na oczy nie widział.

— Mnie? o!... Albo żartujesz, albo łżesz.

— Cicho bądź, nieponiu ty jakiś!

— Niepoń ty sam!

Od słówka do słówka doszło do obelg w stopniu najwyższym; zamieszala się rodzina cała, Trznadel na Nuchima się zamachnął i wypchniętym został za drzwi, dostawszy szturchańców co niemiara. Odgrazanie się z ulicy uważaćby można było jako proste spędzenie złości bezsilnej, któremu pojawienie się policji tamę położyło. Trznadel z placu ustąpił, chyłkiem z tłumem się wysunął, w jedną z uliczek ciasnych skręcił, i jak zając skoczył w ruinę starych domostw. Zasłonił się parawanem burzanów, usiadł, posiedział przez chwilę, następnie nawznak się położył i, patrząc w niebo, na którym słońce połowy dziennój do-

biegało drogi, spędzał czas na zajęciu czworakiem: to myślał, to nucił, to półgłosem gwizdał przez zęby, to znów mówił sam do siebie. Myślenia, nucenia i gwizdania powtórzyć nie możemy, z mówienia zaś weźmiemy to tylko, co z opowiadaniem naszym w związku niejakim pozostaje.

— Przebaczyć szelmie, czy nie przebaczyć? — były słowa Trznadła. — Przebaczyłbym, gdyby nie to, że mnie już rzemiosło znudziło i znużyło. Chciałbym się wycofać... z honorem (wyras tu wymawiał ze znaczącym naciskiem), mogłem to zrobić, byłem tak blisko... i huncwot ten popsuł wszystko! Do tego jeszcze i kotlarza uwikłał. Cha cha cha... Sprytny Żyd, niema co, ale kosztem moim. Pal go diabli!

Po niejakim przestanku, zapełnionym wokalizowaniem jakiejś piosenki, znów mówił:

— Był już człek portu blizkim i ot... Pracuj-że tu, ryzykuj, talenta rozwijaj! Ha! niema rady: grzybem jesteś, leż w barszcz. Spróbuj jeszcze. Jeżeli połów powiedzie się, jak wówczas, puszczeż Żydowi płazem; jeżeli się nie powiedzie.. eh!...

Ręką machnął.

— Napracowałem się dosyć, starość za pasem, niechże już inni pracują na mnie. Starzy wysłuzeni złodzieje idą na chleb łaskawy: pora mi już o tém pomyśleć. O tak, pora i wielka!

Westchnął głęboko.

— Życzyłbym sobie jednak, bo i dlaczegóżbym życzyć nie miał? życzyłbym sobie ściągnąć nie żadną fatalaszkę, nie klejnot choćby najkosztowniejszy, przynoszący więcej kłopotu, aniżeli korzyści, ale sumkę jakąś gotowizną. Och! jakżebym tego pragnął!

Zamyślił się i kombinował jak wódz, plan kampanii układający.

— Hm... tak szafa, tak komoda... drzwi na prost, dalej na lewo... pokojów jeden, dwa, trzy, schody... te drzwi skrzypią... hm... Odwaga jednak jest ozdobą młodzieńca. Ale ja już nie młodzieniec. O! Tém też bardziej spieszyć się potrzeba. Już bo pora: i krzyżyska pobolęwaja, i reumatyzm świdruje... Ochl!...

Jęknął głucho, dłońmi po kolanach się potarł, skrzywił się, dźwignął i usiadł.

— Starość nie radość, śmierć nie wesele... Żyło się i używało... Ha!..

Komentarzem monologu powyższego były czynny, które się w ten wyraziły sposób, że mąż ten zacny, spędziwszy w ukryciu czas do wieczoru, wieczorem wyszedł, z ostrożnością jaknajwiększą pomknął ulicami bocznymi i, idąc z godzinę, dostał się wkońcu na owę ulicę, na której znajdował się mostek na kanale wychodzącym z pod muru ogrodowego. Mostek ów był niby pierwszą wędrówki jego etapą. Wsunął się pod niego, zniknął na chwilę i po chwili trzebaby było posiadać wzrok koci, widzący, jak powiadają, w ciemnościach, ażeby dostrzedz ciało człowiecze, czolga-jące się z pod mostka ku otworowi pod murem. Jeszcze chwilka i ciało to podniosło się, ale po drugiej muru stronie, wewnątrz ogrodu, w którym wodotrysk szemrał i róże mieszały woń swoją z wonią jaśminu i krzewin egzotycznych. Listki drzew szepcane wiodły rozmowy, księżyc w ostatniej kwadrze osrębrał przedmioty, z po za galezi przeglądał pałacyk, bijąc światłem, wydobywając się przez okna salonu. Trznadel rozpatrzył się, postąpił przez chwilę, nastawił uszu, postąpił kroków kilka i przyległ za krzakami, porastającymi wzdłuż alei ogrodowej.

— Zająłem pozycję... — rzekł sam do siebie.

Niebawem usłyszał szelest. Wsparł się na łokciu, głowę z pośrodku prątków krzaka wytknął i wzrok wyteżył. Mimo niego przesunęła się postać niewieścia.

— Samajedna... — szepnął. — Widział ja tui sły-szał co innego... Widziałem parę czułą, w uszach mi pocałunki brzmiały... Może i do tój jed-nój para się przyplacze... Noc taka piękna, taka romantyczna!..

Postać niewieścia przesunęła się powtórnie.

— Widocznie czeka, wyszła na wabika i tylko patrzyć, jak z pałacu wysunie się samezyk

w czarnym fraku. Obserwujmy, komedia gra się *gratis*.

Ulokował się odpowiednio. Obserwował jednak napróżno. Postać niewieścia chodziła po ogrodzie długo, lecz wciąż samotnie. Wreszcie znikła.

— A! — rzekł Trznadel. — Snadż czasy zmieniły się, albo może moda taka nastąpiła, że panna na wydaniu, oblana blaskiem krociowego posagu, roman-sować musi samotnie, przy blasku księżycy. Dawniej bywało inaczej. Ha! żeby téż posag ten dostać się mógł mnie. Nie byłoby w tém nie gorszego, niż gdyby dostał się jednemu z tych młodzieńców szykownych, którzy dlatego tylko nie wchodzą do profesyi złodziejskiej, że mają nadzieję ożenić się dobrze. Ale o tém i marzyć mi niewolno. Posag ten pod dziesięciu spoczywa kluczami i to tylko jest dla mnie przystępnym, co dziadunio do-brodziej w biurku trzyma, co babunia pod poduszka chowa, co mama na szpilki odkłada. Mi-zerya! no! Sztuka jednak życia polega na tém, ażeby umieć poprzestawać na małym. Pragnąłbym dostać kilkadziesiąt, kilkanaście, kilka zresztą ty-siączków.

Medytacye w tym rodzaju ciągnęły się póty, póki w pałacu światła nie pogasły i cisza nocna nie zaległa wokół. Gdy to nastąpiło, Trznadel wstał, wyprostował się, poprawił na sobie od-dzież, wydobyl z zanadru narzędzi sztuk parę i ruszył ostrożnie ku pałacowi. Gdy szedł, trudno było rozpoznać, czy to człowiek, czy cień ludzki się posuwa. Nie zdradzał go chód nogami bosemi, nie zdradzał go oddech nawet. Rzekłbyś że płynął cicho. Dopłynął do ściany pałacowej, wspiął się po rynnie do góry i przytulony do mu-ru, przesunął się wzdłuż, opierając się nogami o podmurowanie i chwytając rękami za gzymsy. W ten sposób dostał się do okna saloniku tego, w którym widzieliśmy pannę Helenę, w towarzy-stwie bohatera naszego. Otworzył okienko, otwo-rzył następnie okno, podniósł się na rękach, prze-łaził i w chwilę później siedział już na kanapie, odpoczywając i nasłuchując. W pałacu panowały cisza i ciemność — tylko na kominku zegar dygo-tał równem tętnem. Trznadel po niejakim czasie poszedł dalej, wystawiając napróżno ręce wyciągnię-te i próbując gruntu nogami ostrożnie stawia-niami. Szedł, nie wywołując ani skrzywienia, ani stukania, nie zdradzając niczém obecności swojej. Otwierał drzwi zamknięte, przechodził z pokoju do pokoju, aż się dostał do jednego, w którym o słuch jego obilo się kaszlanie. Zatrzymał się na chwilę.

— Stara hrabina — rzekł do siebie i ręką machnął. — Hrabia tam. Niech śpią w spokoju zaci ci ludzie.

Zawrócił się i wydostał do sieni, z której scho-dy prowadziły na piętro. Wszedł na schody. Na piętrze, odpocząwszy chwilę w przedpokoju, zwiędzać począł pokoje jeden po drugim, z zachowaniem tych samych co na dole ostrożności. Zda-wało się, że miał cel jakiś, do którego dążył. Ja-koż pokazało się, że tak w rzeczy samej było. Dążył wprost do apartamentu pani Orchowskiej, do którego dostał się bez przeszkody, wszedł do pokoju sypialnego, stanął przy łóżku uspionej pani Eweliny i delikatnie położył jej na ustach chustkę zmoczoną płynem, który miał przy sobie w butelce. Zrobiwszy to, odchrząknął i rzekł:

— Znakomity wynalazek! Teraz jestem jak u siebie. No!

I rozpoczął poszukiwania, zapaliwszy sobie świecę od stojącej w kącie lampki nocnej. Odsu-wał szuflady od komód i biurka, otwierał szafy, rewidował schówki w gotowalni, a wszystko to czynił ze swobodą zupełną, nie zważając bynaj-mniej na świadka, który, zjęty snem kamiennym, za kotarami spoczywał. Świadek ten nie żenował i nie obchodził go wcale. Przewracał, przetrząsał, często stuknął, wyszedł ze światłem do pokoju przyległego, wrócił, znów przetrząsał i przedmio-ty rozmaite na stronę odkładał, wybrawszy sobie do odkładania stolik okrągły, stojący przed ka-napką. Niebawem na stoliku tym zebrała się ilość niemała drobiazgów, takich jak kolce, brosze, bransolety, pierścionki, łańcuszki, spinki, guziczki, zegarki damskie i t. p. Trznadel zasiadł na ka-

napie i obrzucił to wszystko okiem, trzymając w rękę pugilaresik, dość dobrze wypchany.

— Oto gotówka cała—rzekł po chwili, podrzucając pugilaresik na dłoń—to zaś wszystko możeby i starczyło na to, ażeby złodzieją na ucziwego przerobić człowieka. Ale bądź mądry, zrób co z klejnotami, bez pomocy Żydów! O Żydzi!... Cóż? komuż fatalaszki te sprzedam? Złotnik, jubiler każdy zażąda legitymacyi z posiadania. O, Żydzi! Zamyślił się.

— Cóż więc, panie Onufry?—zapytał siebie po chwili.—Zabierzesz to, czy nie zabierzesz? Zabierzesz, to z bogacisz Żyda, sam zaś jak byłeś, tak pozostaniesz galganem. Nie zabierzesz, to pozostanie ci paręset talarów (tu znów pugilaresik na dłoń podrzucił), które wystarczą na tygodni kilka życia z szykiem... Ha!

Zdecydował się, świecę zdmuchnął, klejnoty wszystkie zostawił, pugilaresik do kieszeni włożył, chustkę z oblicza pani Eweliny zdjął i wyniósł się z pałacu drogą tą samą, którą wszedł.

Nie będziemy opisywali zdziwienia pani Eweliny, gdy okrzyki jej paany służącej zbudziły ją nazajutrz rano i dały jej poznać rozciągłość całą rewizyi przez Trznadla dokonanej, jakoteż zniknięcie pugilaresika, zawierającego, mniej więcej, złotem i papierami, talarów trzysta na drobne wydatki.

— Duchy chyba!—było przypuszczenie, na które zgodzili się domownicy wszyscy prawie.

Ponieważ atoli zniknęły pieniądze, a potrzeba takowych w świecie duchowym jest rzeczą wątpliwą, przeto uwiadomiono policję, dla której fakt tej nowej kradzieży, pozostającej jaknajwyraźniej w ścisłym z poprzednią związku, stał się powodem utraty wątku we względzie odszukania sprawcy. Możliwość przypuszczać, że sprawcą był Kaźmirz. Przypuszczenie to atoli upadało wobec świadectwa samój-że policji, która go pod dozorem miała i jaknajpewniej wiedziała, iż noc całą w domu spędził. Obserwowano go i widziano. Agenci bezpieczeństwa publicznego zaglądali przez okno. Wyszedł rano, powrócił o południu, nie wychodził więcej i do rana prawie przesiedział nad papierami i książkami, czytając i pisząc. Co zaś bardziej jeszcze podejrzenie obalało, to dokonane przez policję dokładne zbadanie miejscowości, która występowała za teatr służyła. Na grządkach, otaczających pałac, na miękkiej ziemi, znaleziono odciski świeże bosój stopy ludzkiej, której rozmiary nie zgadzały się bynajmniej z rozmiarami stopy Kaźmirza. Znaleziono przytém ślady na ścianie zewnętrznej, dowodzące zręczności i wprawy nadzwyczajnej, nieprzypuszczalnej w człowieku oddanym specjalnie i wyłącznie nauce. Poczyniono odkrycia, zapomocą których można było narysować plan wyprawy Trznadla. Sprawcy jednak nie odkryto. Przesunął się, tu odcisk stopy zostawił, tam ścianę powalał, tu gzyms utracił, owdzie ślady dłoni lub palców wycisnął i znikł, niby wiatr w polu. Zdawało się, jakby przez dopuszczenie się tej nowej kradzieży umyślnie zdradził z policji, która, celem wyśledzenia takowej, rozwijała nadaremnie dowcip swój cały.

Sprawca był nie do odszukania.

Sprawa się zagmatwała.

Józef siedział w więzieniu, na mocy własnego zeznania, o którym sędzia śledczy przekonany był, że jest zmyślonem, i dlatego czynił dochodzenia i poszukiwania po za Józefem.

Dochodzenia i poszukiwania powierzonemi były najpewniejszym i najdowcipniejszym agentom w czynnościach tego rodzaju. Ci gromadzili materiały do sprawy się odnoszące, zbierając takowe wszędzie, gdzie prawdopodobieństwo chociażby najmniejsze przedstawiało się jako wskazówka, mogąca posłużyć do dojścia prawdy. Zadanie było trudne. Dla rozwiązania onego należało najprzód dozór pilny rozciągnąć na wszystkich znanych w rzemiośle złodziejskim emerytów, badać ich konduktę i sposób życia, zwłaszcza zaś śledzić ich wydatki po piwiarniach i szynkach. Złodziej rozrzutny jest, gdy ma pieniądze. Na podstawie stwierdzonego niebawem doświadczeniem spostrzeżenia tego, agenci policji wzięli szcze-

gólnie na oko te z zakładów publicznych, do których uczęszczała klasa ludzi podejrzanych, wzięli zatem na oko i znaną nam już garkuchnię Pod Fijolkim, w której królowała zawsze pani Jędrzejowa. Wiedzano że Kaźmirz w jej domu mieszka. Była to przeto racya nie najpośledniejsza do rozciągnięcia dozoru pilnego nad jej zakładem. W różnych tam dnia porach i pod różnymi pozorami zachodzili przebrani agenci policji, rozpatrując się i przysłuchując, rozpytując i do rozmów się mieszając, do rozmów, do których wątku często dostarczały głośne sprawy znalezionej u Józefa naszyjnika i zaginionej bez śladu pugilaresu. Pani Jędrzejowa brała niekiedy w rozmowach tego rodzaju udział.

— Oho—odezwała się razu pewnego, gdy w tygodni parę po wypadku powiedział ktoś, że policya sprawcy wynaléże nie może—ja wnetbym go wyśledziła. Policya szuka naumyślnie, ażeby nie znalazła.

— Dziwo!—podechwycił agent policyjny—jak chcecie, pani matko, ażeby znalazła, kiedy ona ze złodziejami w spółce.

— Ta, wiem ja o tém od czasu, jak tego urwipolecia, co mnie z dymem puścić chciał, zasądziła niena szubienicę, ino na dom poprawy, w którym on poprawił się z pieca na łeb. O! poprawił się!—dodała z przyciskiem.—Spotkałam go wczoraj. Uu... co za szyk! Szedł, przysięgłabym, od panielenka; stanął, w nos mi się roześmiał, rzodkiew na palcu strugał i śpiewał: A u naszej pani matki, złapał się ptaszek do klatki.

— O kim to mówicie?—zapytał agent.

— O kim? o! O kimże, jak nie o tym huncwocie, Onufrym Trznadlu!

Agentowi oczy zaświeciły blaskiem nagłym, jakby objawienie spłynęło na niego.

— Onufry Sznakiel—powtórzył.

— Nie Sznakiel, ale Trznadel, Trznadel—poprawiła pani Jędrzejowa.

— Nigdy o nim nie słyszałem i nie znam go wcale. Cóż to za jeden?

— Szubienicznik, urwipoleć, łajdak, rozbójnik!—sypnęła baba.—Kto ukradł? on ukradł! W nos mi się roześmiał, a był ubrany, niby pan jaki.

— Spotkaliście go wieczorem?

— Ba, nie, o piątę rano.

— Wićcież z pewnością, że to on kradzież popełnił?

— Czy z pewnością!—zawołała baba, podrażniona tonem wątpliwości, w jakim pytanie zadaniem zostało.—Na ewangelię przysięgnę, gdyby tego było potrzeba. Czy z pewnością? To mi się podobalo!

Wywinęła warzęchę i do kotłów się zwróciła. Powiedzenie to baby stało się dla policji promykiem światła w ciemnościach. Pani Jędrzejowa nie wiedziała o niczem, rzuciła podejrzenie na chybił-trafił, wprowadziła atoli policję na trop o tyle, że ta zafrapowana została nieobecnością Trznadla w sferze złodziejskiej. Znikł; istnieje jednak, ponieważ go baba widziała. Widziała go „ubranego, niby pan jaki.“ Nie był to dowód żaden, była jednak poszlaka, nadająca poszukiwaniom jeżeli nie cel wyraźny, to zasiłek nowy, wskazówkę jakąś, odmienną od tych, jakich z pałacu udzielano. Agenci otrzymali polecenie szukania Trznadla, notowanego specjalnie w policyjnej księdze czarnej; rozbiegli się na szlaki i przesmyki wszystkie, zbiegali daty i fakta i, po tygodniu poszukiwań usilnych, nie wpadli nawet na trop. Znikł jak kamfora; wpadł jak kamień w wodę; istniał atoli, albowiem widziała go baba. Zniknięcie to nie było bez kozery. Należało koniecznie zbadać znaczenie onego, do zbadania zaś należało poruszyć sprężyny wszystkie.

Jedną ze sprężyn, w oczach policji, była pani Jędrzejowa.

Niewiasta ta zdziwioną niepomału została, gdy poranka pewnego otrzymała wezwanie stawienia się w biurze sędziego śledczego.

— A toż po co?—zawołała, mierząc okiem gniewnym policyanta, który jej wezwanie wręczył.

— Co ja tam wiedzieć mogę!—była odpowiedź.—Rozkaz i kwita.

— A jeżeli nie pójdę?

— To poprowadzą.

Na *dictum* to lakoniczne baba zmiękła. Rozporządziła co do zastępstwa w garkuchni w nieobecności swojej i, w godzinie oznaczonej, udała się do biura, tego samego, w którym ściągano protokół z Józefa. Sędzia zajmował miejsce swoje, pisarz swoje, agent atletycznej budowy swoje. Pani Jędrzejowej podano stołek. Usiadła i wnet z pretensją wystąpiła:

— Ja nie wiem, po co, za co, na co ciągną mnie do sądu; nie wiem o niczem.

— Nie tak o niczem, jak się pani zdaje—odparł sędzia spokojnie.

— Ja wiem o moich garkach.

— U pani przecie, pod Fijolkim, bywają ludzie.

— Ludzie? o! pomsta na nich! Cóżbym ja pod Fijolkim bez ludzi zrobiła? Przyszłoby chyba znarnieć, z głodu umrzeć.

— I masz pani znajomych pomiędzy nimi?

— Znajomych? o, mój ty Boże! Co to za znajomi! Przyjdzie jeden, drugi, dziesiąty, naję się, zapłaci, głębę utrże i odejdzie. Ot, tacy to znajomi moi!

— A przecie znasz pani i takich, co pod Fijolka nie chodzą.

— Ciekawam!—odrzekła baba.

— Wymienię jednego.

— Kogo?—podechwyciła.

— Jednego, którego—zaczął sędzia powoli, wpatrując się pani Jędrzejowej w oczy—którego...

Halas za drzwiami przerwał sędziemu. Zamilkł i pytające oczy na drzwi zwrócił. Agent podniósł się z siedzenia i zrobił kroków parę. Wtém drzwi się rozwarły gwałtownie i wdarł się przez nie przytrzymywany przez policyantów człowiek, gestykulując i krzycząc:

— Do sędziego! do pana sędziego! Panie sędzio, prowadzę złodzieja, a oni (tu gestem na policyantów ukazał) nie puszczaają!

— Trznadel!—krzyknęła pani Jędrzejowa.

— Tak, on sam! Prowadzę go, prowadzę Trznadla, co ukradł w pałacu hrabiego Przesielskiego naszyjnik i trzysta talarów. Ja, Onufry Trznadel, przyprowadzam sam siebie.

Sędzia skinął na policyantów. Wyszli i drzwi zamknęli.

Pani Jędrzejowa szeroko otwartemi oczami na złodzieja patrzyła. W oczach jej malowało się zdumienie. Trznadel prawił dalej:

— Przyprowadzam sam siebie, bo idę prosto, jak człowiek ucziwy.

— Ucziwy!—syknęła baba przez zęby.

— Ucziwszy od ciebie, stara trucicielko, karmiąca ludzi ochłapami, odpadkami, zbiieraną z rynsztoków, psim szmalcem, mysiami ogonkami!

— A! a! ach!—krzyknęła kobieta, oblewając się pensem na twarzy i podnosząc się z pięściami zacisniętymi.

Sędzia skinął. Atleta chrząknął. W chrząknięciu tém było coś imponującego, tak że pani Jędrzejowa ochłonęła z gniewu, jakby dotknięta różeczką czarodziejską, i usiadła, prostując się i usta sznurując, niby pensyonarka. Trznadel, nie zważając na nią, ciągnął dalej:

— Ucziwy jestem, skoro złodzieja przyprowadzam. Byłbym jeszcze ucziwszy, gdyby nie Nuchim Bimbel, szynkarz z Główniej ulicy i przechowywacz rzeczy kradzionych, który mnie na naszyjniku haniebnie orzwał.

— Jakże to było?—wtrącił sędzia.

— Rzecz prosta: na kamieniach się nie znam. Nuchimowi więc łatwo poszło wmówić we mnie, że brylanty są to szkiełka czeskie i dał mi złotych dwadzieścia za to, co było warte kilka tysięcy talarów. Żydzi, panie, orzynają nas na kroku każdym; są to pijawki prawdziwe... Gdyby nie oni... o!...

Podniósł rękę do góry.

Sędzia zapytał:

— Sprawcą więc kradzieży naszyjnika?...

(Dalszy ciąg nastąpi.)